

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ

Karol May

W POTRZASKU

Doktor Hilario niespokojnie przemierzał pokój tam i z powrotem.

— Być może, palnąłem dziś największe w życiu głupstwo — mruzczał do siebie. — Zdradziłem tajemnicę. Czy wyjdzie mi to na korzyść?

Wtem cicho zapukano do okna. Otworzył je i wyjrzał. Na dworze stał jakiś mężczyzna.

— Kto tam? — zapytał ostro.

— To ja, stryju.

— Manfredo? Już idę.

Otworzył boczną furtkę i wpuścił bratanka.

— Nie oczekiwałem ciebie — powiedział. — Czy masz coś ważnego?

— Tak, nawet bardzo.

— Chodź ze mną do pokoju!

Przez pewien czas przypatrywał się młodemu mężczyźnie.

— Skąd przybywasz? — spytał wreszcie.

— Z hacjendy del Erina.

— Dlaczego stamtąd? Przecież wysłałem cię do stolicy, abyś odszukał kogoś z werbujących dla Corteja.

— Byłem tam, stryju. Udało mi się spotkać jednego z jego ludzi. Powiedział, że Cortejo przebywa w hacjendzie del Erina. Zaciągnąłem się wraz z innymi i wyprawiono mnie tam.

— Po co zatem tu przyjechałeś?

— Proszę, abyś wyświadczył przysługę Cortejowi, o ile oczywiście zechcesz. Potrzebne mu schronienie. Jest zbiegiem.

Zdziwienie odmalowało się na twarzy starca. Manfredo poinformował go w paru słowach o fatalnych przygodach Corteja, zdobyciu hacjendy przez Miksteków oraz powrocie hrabiego Fernanda i jego przyjaciół.

— Nie mam czasu, aby wszystko ci dokładnie opowiedzieć. Uwierz mi jednak, że przeżyliśmy wiele okrutnych dni i że z całą pewnością zarządzono za nami pościg. Z ogromnym trudem uratowaliśmy córkę Corteja, której groziło poważne niebezpieczeństwo.

— A więc i ona jest z wami?

— Tak. Cortejo, Josefa, Grandeprise, którego ongiś wyleczyłeś, i pewien Meksykanin.

— Gdzie są?

— Niedaleko. Przeszedłem tu sam, aby się dowiedzieć, czy skłonny jesteś przyjąć Corteja.

Doktor przechadzał się zamyślony po celi.

— Co za przypadek! Oczywiście przyjmę. Przyprowadź go!

Manfredo wyszedł i niebawem wrócił z Cortejem. Na skinienie stryja wyszedł ponownie, zostawiając ich samych.

Cortejo stał przy drzwiach. Ukłonił się i z nieufnością przyglądał się starcowi. Ten zaś zmierzył przybysza spojrzeniem od stóp do głów i zapytał:

— Cortejo to pańskie nazwisko, senior?

— Tak.

— Jest pan owym Cortejem, który służył u hrabiego Fernanda Rodrigandy?

— Zgadza się.

— Witam pana. Proszę usiąść.

Cortejo usiadł, Hilario jednak stał i nie spuszczać z gościa przenikliwego spojrzenia mówił

dalej:

— Bratanek powiedział mi, że szuka pan na pewien czas schronienia. Jestem gotów udzielić go panu.

— Dziękuję. Ale czy będę tu bezpieczny? Nikt się o tym nie dowie?

— Ma pan powody do obaw?

— Niestety Czy zna pan moje koleje losu?

— Wiem, że zabiegał pan o fotel prezydenta.

— Właśnie. I z tego powodu wygnano mnie z kraju.

— Francuzi?

— Właściwie to cesarz Maksymilian: ale on nic nie uczyni bez zgody Francuzów. Nie chcąc zrezygnować z kandydowania, wyruszyłem na północ, gdzie zamierzałem zgromadzić swoich popleczników. Znienacka napadnięto na mnie w hacjendzie del Erina. Rozgromiono moich ludzi i jestem pewien, że zorganizowano pościg.

— U mnie będzie pan całkowicie bezpieczny. Ten stary klasztor ma tyle jaskiń, korytarzy i podziemi, że można tu ukryć tysiące ludzi.

— To znakomicie! Zwłaszcza że w mieście są Francuzi, o czym się przed chwilą dowiedziałem. Poznaliby mnie na pewno.

— Nie powinien się pan niczego obawiać. Juarez rozbroił Francuzów. Będą więc zadowoleni, jeżeli pozwoli im spokojnie wyjechać. Co się tyczy wynagrodzenia...

— Jestem bogaty — przerwał mu Cortejo.

— Co to za bogactwo? Cortejo się spieszył.

— Dlaczego pana to interesuje?

— Nie ze względów osobistych, bo zrzekam się zapłaty. Chcę jednak poznać pańską sytuację i powiązania, aby wiedzieć, w czym mógłbym być przydatny.

— Dziękuję. Ale niech mi pan powie, czemu zawdzięczam takie zainteresowanie moją osobą?

— Dowie się pan wkrótce. A teraz ponawiam pytanie: co to za bogactwo?

— Zarządzam majątkiem hrabiego Rodrigandy. Nieokreślony uśmiech pojawił się na twarzy doktora:

— To znaczy, że zagarnął pan majątek hrabiego? Cortejo zmieszał się.

— Tego nie chciałem powiedzieć.

— Nie obchodzi mnie, co pan chciał powiedzieć. Rozpatruję tylko fakty. Zresztą, stracił pan stanowisko. Nie mógłby mnie zatem senior wynagrodzić.

— Mam pieniądze! I to dużo! — Cortejo zląkł się, że doktor go nie przyjmie. — Są dobrze schowane. Musiałem być przygotowany na wszelką ewentualność.

— A więc ukrył pan część bogactw hrabiego? Odpowie pan za to!

— Co to ma znaczyć?

— To chyba jasne, że hrabia Fernando udzielił panu dymisji.

— Co?! — wykrzyknął Cortejo. — Hrabia już dawno nie żyje!

Doktor znowu się uśmiechnął.

— Sam pan w to nie wierzy. Wie pan równie dobrze jak ja, że don Fernando żyje.

Krew uderzyła do głowy Corteja.

— Kto panu o tym powiedział?

— Mój bratanek Manfredo. Był z panem dosyć długo, aby zorientować się w niejednym.

— Pański bratanek źle pana poinformował.

— Nie usiłuj mnie pan oszukać! Wiem dokładnie, jak się rzeczy mają. Nie jest pan szczery ze

mną i dlatego nie przyjmę pana!

— Ale co pana obchodzi rodzina Rodrigandów?

— Nic, absolutnie nic. Ale nie mogę ukrywać człowieka ściganego, nie wiedząc, co może mi grozić ze strony jego prześladowców.

— Nie powinien się pan nikogo lękać.

— Znowu powtarzam: sam pan nie wierzy w to, co mówi. Mój bratanek niewiele mi przekazał, ale zrozumiałem, że ci, którzy was ścigają, są bardzo odważnymi ludźmi. Co mają przeciwko panu? Musi mi pan zaufać i wyjawić całą prawdę.

Cortejowi pot wystąpił na czoło. Był w potrzasku. Tylko doktor Hilario mógł mu pomóc. Ale odsłonić się przed nim? Wypowiadać? Nie ma jednak innego wyjścia. Przecież później będzie go można usunąć. Kiedy i jak, czas pokaże. Szybkim, zdecydowanym ruchem podniósł głowę rzekł:

— No dobrze, wtajemniczę pana w swoje sprawy. Ale czy naprawdę mogę panu zaufać?

— Przysięgam, że nikomu nie powiem o tym, czego się od pana dowiem.

— Mam nadzieję. Może senior być pewny, że w przeciwnym przypadku zabiję pana.

I oto Cortejo zrobił coś, co uważał dotychczas za niemożliwe — dopiero co poznanego człowieka wtajemniczył w sekrety rodu Rodrigandów. Omijał wszystko, co go mogło ośmieszyć. Mimo to doktor Hilario dowiedział się tyle, że kiedy Cortejo skończył, zapytał z niedowierzaniem:

— Czy to prawda, senior? Może opowiedział mi pan treść jakiejś przeczytanej czy usłyszonej historii?

— Najszczęsza prawda.

— Czy sądzi senior, że niebawem przybędą pana wrogowie?

— Tak. Wyruszyli natychmiast za nami i jestem pewien, że nie zgubią mojego śladu.

— A więc przyjmujemy ich. Ale czy muszę ukryć także pańskiego towarzysza, Meksykanina? Nie będzie mi potrzebny.

— Mnie także. Oddal go.

— Dobrze. Inna rzecz z Grandeprisem. Jest mi wielce zobowiązany i na pewno nas nie zdradzi. Idźże teraz, senior Cortejo, i przyprowadź córkę. Wskażę wam ukryte podziemne mieszkanie.

W tym czasie seniorita Emilia siedziała w swoim pokoju. Biła się z myślami, czy już dziś przejąć tajną korespondencję doktora. Pokój jej znajdował się blisko pokoju Hilaria. Dzięki temu usłyszała, że ktoś odwiedził ordynatora. Zgasiła światło i uchyliła lekko drzwi, aby podsłuchiwać. Po pewnym czasie znowu rozległy się czyjeś kroki. Kiedy drzwi pokoju doktora zostały otwarte, ujrzała w blasku lampy, że wchodzi tam mężczyzna i kobieta. Jak zdążyła zauważyć, mężczyzna był ślepy na jedno oko.

Przez pewien czas nic się nie działo. Potem usłyszała szmery. Zobaczyła, jak Hilario i dwoje przybyszów kierują się ku schodom, prowadzącym do podziemi. Kiedy mijali jej pokój, dotarło do niej kilka słów z prowadzonej szeptem rozmowy:

— Seniorita Josefa, na dole będzie pani zupełnie...

Ledwo zniknęli, wpadła jej do głowy śmiała myśl. Nie zastanawiała się ani chwili. Wzięła kilka zapalek i zakradła się do pokoju Hilaria. Było tam ciemno. Zapaliła zapalstkę, by oświetlić ścianę, gdzie wisały klucze. Zdjęła odpowiednie i wróciła do swego pokoju, znów nie domykając drzwi. Wkrótce wrócił Hilario. Był teraz sam. Widocznie ukrył tamtych w podziemiach — pomyślała. Postawiwszy lampę na stole, przechadzał się, mówiąc do siebie (tego już jednak Emilia słyszeć nie mogła):

— Co za wieczór! Ale ten Cortejo głupi i nieostrożny. Zdradzić mi taką historię? Do licha! Zrobię Manfreda hrabią! A że trzeba będzie usunąć wszystkich wtajemniczonych w tę sprawę... No

cóż... Tylko nie wolno działać pochopnie. Jutro prawdopodobnie zjawią się ścigający. Muszę mieć się na baczności. Położę się, muszę wreszcie wypocząć.

Emilia czekała dosyć długo. Kiedy sądziła, że cały dom pogrążył się we śnie, wymknęła się z pokoju, wzięwszy ze sobą sporo papieru, ołówek, lampę i flaszkę oliwy. Drzwi zamknęła na klucz, aby nikt się nie dowiedział o jej nieobecności. Ze schodów zeszła po omacku, dopiero na dole zapaliła lampę. Dość szybko dotarła do ukrytego pomieszczenia.

Natychmiast zabrała się do pracy. Otworzyła szafkę, a w niej wszystkie szuflady. Leżące w nich dokumenty były niesłychanie ważne dla Juareza. Z najcenniejszych zaczęła sporządzać odpisy. Robiła to z niezwykłą szybkością, a mimo to ledwie skończyła przed świtem.

Jeszcze wcześniej usłyszała nagle odgłosy rozmowy. Wyraźnie dochodziły z kąta izby. Gdy oświetliła go lampą, zauważyła otwór w rodzaju ścieku. Widać łączył się z pokojem, w którym rozmawiano. Nachyliła się i przystawiwszy ucho do otworu nasłuchiwała. Teraz słyszała wyraźnie męski i kobiecy głos.

— Czy ufasz całkowicie doktorowi? — pytała kobieta. — Należy być przezornym, ojcze!

— Nie lękaj się o mnie, Josefo. Niełatwo oszukać Pabla Corteja. Wiesz przecież o tym!

— Czyż nie doświadczyliśmy ostatnio, że są ludzie przebieglejsi od nas?

— To był szereg fatalnych zbiegów okoliczności, ale już się to nie powtórzy. Gdyby mi się powiodło z Anglikiem i jego ładunkiem, zamierzałem zawrzeć sojusz z Juarezem z pozycji siły.

Prezydent, rad nierad, przyjąłby nas z otwartymi rękami i byłby zmuszony podporządkować się nam. Teraz jednak wszystko przepadło.

— Gdzie może być obecnie Juarez?

— Jeśli dotarli już do niego oddziały ochotnicze ze Stanów Zjednoczonych, odważy się zapewne na mocne i szybkie uderzenie. Chyba niebawem przybędzie do hacjendy del Erina.

— Dlaczego właśnie tam?

— Tak mi się wydaje. Ci diabelni Mikstekowie nie powstaliby przeciwko nam, gdyby nie spodziewali się wkrótce prezydenta.

Rozmowa umilkła. Emilia jeszcze przez chwilę wyteżała słuch, ale na próżno.

— Zasnęli — szepnęła do siebie. — Co za przypadek! Przecież to Cortejo i jego córka Josefa! Ale najważniejsze dla mnie, to wiadomość, że Juarez zmierza do hacjendy del Erina. Chyba nie będzie miał mi za złe, że zamiast jechać do stolicy, tam się z nim spotkam. Tajemnic doktora nikomu powierzyć nie mogę.

Wróciła do przerwanej pracy. Kiedy skończyła robić odpisy, odłożyła wszystko na miejsce i poszła do swego pokoju. Podniecenie nie pozwoliło jej spać. Zaczęła więc przygotowywać się do wyjazdu.

Hilario zbudził się wcześniej. Niosąc posiłek dla Corteja i jego córki, musiał ominąć pokój Emilii, która usłyszawszy kroki, wyszła mu naprzeciw.

— Już na nogach, moja piękna seniorita! — ucieszył się. — Czyżby nie spała pani dobrze?

— Spałam wyśmienicie, ale rano taki piękny, że chcę odbyć przechadzkę.

— Pochwalam, bardzo pochwalam. A nie zapomni pani podczas spaceru zastanowić się nad odpowiedzią, której oczekuję z niecierpliwością?

— Na pewno nie, senior — rzekła przyjaźnie.

— Czy będzie przychylna?

— Cierpliwości! — uścisnęła lekko jego dłoń.

— O, seniorita, znam już odpowiedź!

Uklonił się i odszedł. Ledwo zniknął za zakrętem korytarza, Emilia zawróciła do jego pokoju.

Klucz tkwił w zamku. Weszła tam i zawiesiła naścianie wykradzione klucze. Następnie, z dużą paczką w rękę, wymknęła się niepostrzeżenie z klasztoru.

W mieście poszła prosto do handlarza koni.

— Pożycza pan konie? — spytała.

— Tak, seniorita. Chce pani jechać na spacer?

— Nie. Muszę i to zaraz odbyć długą podróż. Czy potrafi pan milczeć?

— Jestem przyzwyczajony do brania zapłaty i do milczenia.

— Pieniądze dostanie pan z góry. Czy zna pan hacjendę del Erina?

— Tak. Jazda tam potrwa kilka dni. Czy ktoś pani towarzyszy?

— Nie.

— Odważna z pani dama! Czy mam się postarać o eskortę?

— Dwóch ludzi wystarczy.

— Jak pani sobie życzy. Dam pani dwóch vaquerów. To pewni ludzie. Za pół godziny będą gotowi.

— Doskonale! Niech wezmą ze sobą tę oto paczkę. Ja pójdę naprzód. Spotkają mnie za miastem. Nikt nie powinien wiedzieć, w jaki sposób i w jakim kierunku opuściłam Santa Jaga.

Omówiła z kupcem cenę, zapłaciła sowicie i odeszła wolnym krokiem.

W oznaczonym czasie dogonili ją dwaj jeźdźcy prowadzący konia z damskim siodłem. Zatrzymali się przy niej i pomogli dosiąść wierzchowca.

Prawie w tym samym czasie mknął na północ mały oddział złożony z dziesięciu jeźdźców. Był to Sternau i jego towarzysze. W pewnej odległości za nimi jechali Mikstekowie, których zabrał ze sobą Bawole Czoło.

Długie milczenie przerwał Sternau. Wskazując na trawę powiedział:

— Nie zgubiliśmy tropu. Uciekinierzy odpoczywali tutaj. Patrzcie, jak ta ziemia wygląda.

Zeskoczyli z koni, aby obejrzyć miejsce.

— Tak — potwierdził Bawole Czoło — to oni. Taka sama liczba koni i wielkość kopyt.

— Dokąd prowadzi ta droga?

— Do Santa Jaga.

Podjęli przerwana jazdę, tym razem w szybszym tempie. W południe ujrzeli w oddali trzy postacie na koniach, jadące im naprzeciw. Zatrzymali się znowu.

— Dama i dwóch mężczyzn — oznajmił Sternau. — Aha, zobaczyli nas. Skręcają, aby nas wyminąć. Musimy im przeszkodzić.

— Jedźmy za nimi! — zaproponował Bawole Czoło.

Puszczono konie w cwał. Amazonka zrozumiała zapewne, że nie ujdzie pościgowi, gdyż zawróciła. Kiedy zbliżyli się do siebie na tyle, że można było rozpoznać się nawzajem, Bawole Czoło osadził wierzchowca na miejscu i zawołał:

— Uff! Wszak to piękna squaw z Chihuahua.

— Z Chihuahua? O kim mówi mój brat?

— O damie, która była u wodzów francuskich.

— Seniorita Emilia? Ach, mój Boże, to rzeczywiście ona! Co tu robi?!

Popędzili konie i wkrótce spotkali się z Emilią.

— Doktor Sternau! — krzyknęła zdumiona.

— We własnej osobie. Ale skąd pani się tu wzięła? Sądziłem, że seniorita jest w drodze do Meksyku.

— Owszem, byłam. Ale teraz jadę do hacjendy del Erina. Czy zastanę tam Juareza?

— Nie, ale niedługo tam przybędzie.

— Mam dla niego bardzo ważne wiadomości. Nie mogłam ich powierzyć posłańcowi.

— Służymy pani pewnymi ludźmi — Sternau spojrzął na Miksteków. — Porozmawiamy, tylko zsiądźmy wpieryw z koni, aby trochę wypocząć.

Za chwilę mówił dalej:

— Nie problem z zaufanym gońcem. Ale może musi pani osobiście porozumieć się z Juarezem?

— Bynajmniej. Chodzi tylko o to, aby dokumenty, które mam przy sobie, dostały się do jego rąk.

— Niech pani to poleci dwóm naszym Mikstekom. Zawiozą je do hacjendy i wręczą prezydentowi, gdy tylko tam się zjawi.

— Chętnie skorzystam z tej przysługi, senior. Muszę bowiem jak najszybciej znaleźć się w stolicy.

— Skąd pani teraz jedzie?

— Z Santa Jaga.

— Właśnie tam podążamy. Spodziewamy się znaleźć w tym mieście osoby, które od kilku dni ścigamy.

— Czy może Corteja? — zapytała. — I jego córkę Josefę?

— Seniorita! Czyżby widziała ich pani?

— W pobliskim klasztorze delia Barbara. Zjawili się tam wczoraj wieczorem i ukryto ich w podziemiach.

Po kolei opowiedziała o wydarzeniach dnia poprzedniego, oczywiście z wyjątkiem tych, których nie chciała ujawniać. Najwięcej zdumiała słuchaczy wiadomość, że to Cortejo z czyjąś pomocą uwolnił swoją córkę. Kiedy skończyła, Sternau zwrócił się do niej:

— Chciałbym, aby w drodze do stolicy towarzyszyli pani Mikstekowie.

— A panu nie są oni potrzebni?

— Francuzi zajęli Santa Jaga siłą, nic więc nie wskóramy. Musimy użyć podstępu, a w tej sytuacji Indianie będą nam tylko przeszkadzać.

— Chcecie schwytać Corteja i jego córkę?

— Naturalnie.

— No, to powinniście zwrócić się do Francuzów. Kiedy się dowiedzą, że ten śmieszny pretendent Cortejo ukrywa się w klasztorze, wygarną go stamtąd i uwiężą.

— Nie o to mi chodzi. To my, tylko my, musimy mieć Corteja! Czy może mi pani powiedzieć, jak dostać się do podziemi klasztoru?

— Oczywiście.

Dokładnie opisała drogę i sposób przedostania się tam.

— Zrozumiałem, lecz jak rozpoznam klucze?

— Wiszą kolejno w pobliżu okna.

— A zatem wiem już wszystko, seniorita. Chciałaby pani już stąd pojechać do Meksyku?

— Tak, jeśli da mi pan eskortę Miksteków.

— A pani bagaż?

— Niektóre rzeczy mam przy sobie, a resztę na pewno przywiozą Francuzi, chociaż nie wiedzą jeszcze, dokąd wyjechałam.

— W tym nie pomogę pani, mimo że chciałbym, ponieważ ci Francuzi widzieli mnie w Chihuahua i na pewno poznają. A wtedy zechcą policzyć się ze mną.

— Nie wolno więc panu pokazywać się w mieście.

— I ja tak myślę. Kiedy wyjechała pani z Santa Jaga?

— O siódmej rano.

— Zatem my przybędziemy tam w nocy. To i dobrze, bo nikt nas nie zauważy. Czy mogłaby pani opisać mieszkanie doktora Hilaria, abym je od razu odnalazł?

Emilia uczyniła zadość prośbie Sternaua i wręczyła mu tajne dokumenty. Władca Skał wtajemniczył Bawole Czoło, komu je mają oddać posłańcy, po czym dwaj Mikstekowie, otrzymawszy dokumenty, z miejsca na rozkaz wodza zawrócili do hacjendy. Pozostali czerwonoskórzy przygotowali się do towarzyszenia senioricie do Meksyku.

Obaj vaquerzy z Santa Jaga chętnie odstąpili konie za dobrą zapłatą. Dosiadłszy wierzchowca, Emilia rzekła do Sternaua:

— Senior, muszę pana ostrzec, że doktor Hilario to niebezpieczny człowiek.

— Niech pani będzie spokojna, seniorita! Ten człowiek nie jest dla nas niebezpieczny. Niech Bóg pani sprzyja!

— Do widzenia!

Emilia wraz z Mikstekami udała się w drogę. Obaj vaquerzy zawrócili do miasta. Oczywiście, nie słyszeli rozmowy Sternaua z Emilią.

— Czy nie powinniśmy byli zatrzymać Miksteków, doktorze? — zapytał Unger. — Jest nas dziewięciu, ale przecież nie wiemy, co nas czeka. Kto wie, czy nie przydałaby się ich pomoc.

— Nie sędzę. Ten Hilario nie wyrządzi nam krzywdy. Będzie musiał wydać Corteja. Jedyne błędem to to, że nie zawiadomiliśmy o celu naszej podróży obu czerwonych gońców wysłanych do hacjendy.

— Słyszeli chyba o tym.

— Wątpię, stali za daleko. Jednak nie sędzę, żeby istniały jakieś powody do obaw. Ruszajmy, aby nie przybyć za późno do Santa Jaga.

Popędzili co koń wyskoczy i po pięciu godzinach zbliżyli się do miasta. Chociaż był wieczór, klasztor zarysował się dosyć wyraźnie.

— Gdzie zatrzymamy konie? — zapytał Unger.

— Nigdzie — oświadczył Sternau. — W klasztorze nie powinniśmy tego robić, a w mieście nie możemy się pokazać. Musimy znaleźć miejsce na wzgórzu, gdzie je ukryjemy.

W pobliżu klasztoru, z data od szosy, rósł zagajnik. Tam ukryto konie.

— Kto przy nich zostanie? — zwrócił się Sternau do towarzyszy.

— Nie ja — odpowiedział Bawole Czoło.

— Niedźwiedzie Serce musi iść do Corteja.

— Ja też nie będę tutaj sterczeć — zachnął się Piorunowy Grot.

— Ale przecież i ja nie mogę ich pilnować. Pozostawmy więc je bez straży — zdecydował Sternau. — Miejmy nadzieję, że ich nikt nie ruszy. Zatem chodźmy!

— Czy przedostaniemy się przez bramę?

— Nie. Musimy być ostrożni. Nikt oprócz Hiaria nie powinien nas zobaczyć.

W chwili gdy Sternau i jego towarzysze zaczęli wchodzić na górę, opodal, niedaleko szosy, podniósł się z ziemi jakiś mężczyzna i pobiegł do klasztoru. Otworzył boczną furtkę, zamknął za sobą i czym prędzej poszedł do mieszkania Hilaria. Był to Manfredo, bratanek doktora.

— Ledwo dyszysz — zauważył starzec. — No, co tam?

— Zjawili się. Jest ich dziewięciu. Jeden z nich — istny olbrzym.

— To chyba Sternau. Wyjdź stąd. Nie chcę, by cię tu spotkali. Pamiętaj, że nikt, nawet Grandepri, nie może ich widzieć.

— Jeszcze nieprędko tu będą. Najpierw wjechali do zagajnika, chyba po to, by ukryć konie. Dopiero przed chwilą zaczęli wspinać się do klasztoru.

— To i dobrze. Czy wszystko zapamiętałeś dokładnie? Ty masz tylko świecić za nami, ja zaś z lampą w rękę będę szedł pierwszy. Ale gdy wejdziemy, to znaczy ja i oni, do oznaczonego korytarza, zatrzaśniesz szybko za nimi drzwi i zamkniesz na zasuwę. To wszystko, a teraz idź już!

Bratanek szybko się oddalił, doktor został sam. Siedział przy stole, rzekomo zatopiony w księdze, w istocie zaś czujny na najmniejszy szmer. Ale doktor Hilario nie był myśliwym. Podczas gdy natężał słuch, na próżno usiłując uchwycić jakiś dźwięk, drzwi otworzyły się bez szmeru i wszedł Sternau, a za nim ośmiu towarzyszy.

— Czy to pan jest senior Hilario?

Doktor zerwał się z krzesła i odwrócił. Był tak przerażony, że dopiero po pewnym czasie mógł dobyć głosu. — Tak. Kim jesteście?

— Wkrótce się pan dowie.

Mówiąc to, Sternau wszedł do pokoju, a za nim pozostali. Oczy starca wpiły się z niekłamanym przerażeniem w olbrzymią postać Niemca. Czy z tymi ludźmi, uzbrojonymi od stóp do głów, można podjąć walkę?

Gdy drzwi się zamknęły, Sternau zapytał:

— Czy jest pan sam, senior?

— Tak.

— Nikt nas nie podsłucha?

— Nikt.

— Pragnę więc panu oznajmić, że mam do seniora prośbę.

Sternau mówił tonem życzliwym, który uspokajał Hilaria.

— Czy nie zechciałby pan raczej powiedzieć mi, kim jesteś? — zapytał.

— Dowie się pan. Uprzednio prosimy seniora o szczerą odpowiedź na kilka pytań.

— Nie wiem, co o tym myśleć, senior! Zdaje się, że wtargnęliście do klasztoru nielegalnie?.

— Ano tak. Mieliśmy jednak ważne po temu powody, drogi panie. Jeśli obecność nasza niepokoi seniora, to przecież jest w pańskiej mocy pozbyć się nas bardzo prędko. Powiedz mi pan przede wszystkim, czy byłeś uprzedzony o naszym przybyciu.

— Nie. Kto miał mnie uprzedzić?

— Czy nie przybyli tu wczoraj wieczór pewien pan i pani?

— Nie.

— Nazwiskiem Cortejo?

— Nie. Nie znam tego nazwiska. Żyję nauką i leczeniem chorych, nie zajmuję się polityką.

— Skądże pan wie, że to nazwisko ma związek z polityką? Zdradziłeś się, senior! Nie próbuj nas dłużej oszukiwać. Prowadzisz ożywioną korespondencję ze wszystkimi politykami kraju.

Hilario zląkł się. Skąd Sternau się o tym dowiedział?

— Myli się pan — zaprzeczył energicznie. — Nigdy nie słyszałem o żadnym Corteju.

— To znaczy, że Cortejo i jego córka nie ukrywają się u pana?

— Nie.

— Nie są w podziemiach?

— Nie.

— W pobliżu komory, gdzie znajduje się skrytka z pańską tajną korespondencją?

Teraz naprawdę dreszcz strachu przeszył Hilaria. Opanował się jednak i krzyknął oburzony:

— Jakim prawem wtargnął pan do mego mieszkania i stawia pytania, których nie pojmuję? Wezwę pomoc!

— Nie radzę. Źle pan na tym wyjdzie.

— A więc mów pan jaśniej, abym wiedział wreszcie, czego ode mnie żądasz.

— Ma pan nam wydać Corteja i jego córkę.

— Ależ nic o nich nie wiem!

— Sądzi pan, że wykręci się tym kłamstwem? Chwyć pana za gardło... O, w ten sposób... I jeśli nie powiesz całej prawdy, to ścisnę tak, że za chwilę oddasz ostatnie tchnienie. A potem już sami zdołamy odszukać zbiegów.

Sternau ścisnął Hilaria tak mocno, że oczy wyszły doktorowi na wierzch. Zrozumiał widać, że to nie przelewki, bo wybełkotał:

— Ja... chcę... Sternau zwolnił uścisk.

— Cortejo i jego córka są zatem u pana? — powtórzył.

— Tak.

— Gdzie?

— W podziemnym lochu.

— Chyba nie powie pan, że zamknął ich w lochu.

— Oni są moimi więźniami — skłamał Hilario. Sternau przypatrzył mu się badawczo.

— Ostrzegam pana, żebyś nie próbował mnie znowu podejść!

— Nie oszukuję, senior! Nie wiem, skąd się pan o tym wszystkim dowiedział, ale skoro już wiesz, muszę poinformować, że uważam Corteja za wroga. Przypadek oddał go w moje ręce. On sądzi, że znalazł tu schronienie, ale w samej rzeczy jest moim więźniem. Zamierzam go trochę pomęczyć, a następnie wydam Francuzom.

— Lepiej pan zrobi wydając go nam.

— Co z tego będę miał?

— Zdaje się, że myśli pan o zapłacie. Posłuchaj, senior, ta zapłata może wyjść panu bokiem. Pytam krótko: czy wyda nam pan ojca i córkę, czy nie?. Daję seniorowi minutę do namysłu. Hilario zawołał udając przerażenie:

— Mój Boże, jestem gotów! Pozwól mi, tylko, senior, zawołać bratanka. To on jest strażnikiem więźniów i ma klucze.

— No to wezwij go.

Starzec zastukał w ścianę i po chwili zjawił się Manfred o z zapaloną latarką w ręku. Pełnym ciekawości i przerażenia wzrokiem zmierzył przybyszów.

— Seniores przybyli, aby zabrać naszych więźniów — wyjaśnił Hilario.

— Kto to?

— Niech cię to nie obchodzi! Czy droga wolna?

— Sądzę, że nikogo nie spotkamy. Hilario sięgnął po latarkę.

— Po co dwa światła? — zapytał Sternau.

— Jedno na jedenaście osób nie wystarczy w tych podziemiach. A może mam Cortejów tu przyprowadzić?

— Nie, pójdziemy z panem. Nie usiłuj nam zbiec! Jeden z was pójdzie przodem, a drugi z tyłu. Pierwszy będzie zakładnikiem. Jeśli zdarzy się coś złego, natychmiast roztrzaskamy mu głowę.

Wyruszone w szyku wskazanym przez Sternaua i zgodnym, niestety, z planami Hilaria. Doktor szedł pierwszy. Minał jeden korytarz, po schodach szedł do drugiego, a następnie do piwnicy. Wreszcie stanął przed mocnymi, obitymi blachą drzwiami i odsunął dwie zasuwę.

— Daj klucz! — zwrócił się do bratanka.

— Czy Cortejowie są w tym pomieszczeniu? — zapytał Sternau.

— Nie, w następnym, senior.

Manfredo otworzył zamek i odsunął się, aby przepuścić pozostałych. Hilario poszedł naprzód, a za nim przybysze. Nie zauważyli, że przeciwległe żelazne drzwi są nie domknięte. Zanim zdążyli powziąć podejrzenie, zanim spostrzegli niebezpieczeństwo, już doktor błyskawicznym susem skoczył naprzód i zatrzasnął za sobą drzwi. W tej samej chwili usłyszeli za plecami taki sam odgłos. To Manfredo wykonał rozkaz stryja. Znaleźli się w potrzasku. W dodatku w całkowitych ciemnościach.

— Do stu tysięcy piorunów! Jesteśmy uwięzieni!

— zawołał Unger.

— Uff! — westchnął Apacz.

Miksteka, nic nie mówiąc, strzelił do drzwi.

— Dlaczego mój brat strzela? — zapytał Sternau.

— By roztrzaskać zamek!

— To się na nic nie zda. Zasuwy są mocne.

Wyjął z kieszeni zapalki. W ich świetle ujrzeli mglistą smugę wydobywającą się spod drzwi. Jednocześnie poczuli silny, duszący zapach.

— Chcą nas otruć albo zadusić! — krzyknął Sternau.

— Wpuszczają jakiś gaz!

— Wysadźmy drzwi! — poradził Piorunowy Grot.

Z całej siły napaarli na nie. Na próżno jednak. Ani drgnęły.

Doktor Hilario stał w pobliżu i nasłuchiwał. W lewej ręce trzymał latarkę, a w prawej pulweryzator zawierający tajemniczy gaz. Na twarzy jego malowała się złośliwa, iście piekielna radość.

— Zwycięstwo! — rzekł do siebie. — Ale walczą o życie. Teraz szturmują kolbami. O, żelazo wytrzyma nie taki atak! Zasuwy nie puszcza. A za dwie minuty będzie po wszystkim.

Istotnie. Uderzenia słabły i wkrótce zupełnie ucichły.

— Czy już mam tam wejść? — zastanawiał się głośno Hilario. — Jeżeli wejdem za wcześnie, będą jeszcze przytomni i mogą mnie zabić, jeśli się spóźnię, zastanę trupy, a przecież nie o to mi idzie. No, odwagi!

Odsunął rygle i ostrożnie odemknął drzwi. Uderzył go ostry, przenikliwy zapach. Otworzył drzwi na oścież i szybko się cofnął.

— Manfredo! — zawołał. — Otwieraj swoje! Bratanek natychmiast spełnił polecenie. Zabójczy gaz miał ujście. Niebawem można było bez obawy podejść do dziewięciu mężczyzn, leżących nieruchomo na ziemi. Doktor ukląkł i obnażywszy ich piersi, badał, czy żyją.

— Czy aby nie pomarli? — zaniepokoił się Manfredo.

— Nie. Żyją. Stało się zgodnie z moim życzeniem. Zabierz wszystko, co znajdziesz przy nich i zatrzymaj przy sobie. Potem ich zwiąż. Będziesz tu siedział, dopóki nie wrócę. Chcę przyprowadzić Cortejów. Niech się ucieszą widokiem tych więźniów. Potem ja się będę cieszył tym, co im zgotowałem.

Hilario odszedł. Bratanek przetrząsnął kieszenie pojmanyh i zagrabione rzeczy przeniósł do drugiej piwnicy. Po czym bardzo starannie związał jeńcom ręce i nogi, aby żadną miarą nie mogli się uwolnić.

Doktor Hilario, minawszy szereg korytarzy, zapukał do drzwi Cortejów.

— Czy mogę wejść?

— Ach, Hilario! Nareszcie pana widzę!

Doktor wszedł do znośnie urządzonego pokoju, w którym płonęła lampa. Cortejo i Jego córka siedzieli na macie rozesłanej na ziemi.

— Dobrze, że pan przyszedł — ucieszyła się Josefa. — Cierpię jeszcze bardzo. Czy zrobi mi pan nowy opatrunek?

— Nie, seniorita. To zbyt ciężkie. Pani rana była źle gojona. Teraz za późno. Umrze pani.

Josefa wbiła swe swoje oczy w doktora.

— Żartuje pan! Chce mi pan napędzić strachu?

— Przydałoby się, aby pani odczuła choćby trochę strachu, seniorita.

Chłodno i obojętnie spoglądał na jej pobladłą z przerażenia twarz. Nie uwierzyła mu jednak.

— Jestem przekonana, że szybko wyzdrowieję.

— Miej nadzieję, Josefo! — pocieszał ją Cortejo. — Senior Hilario jest w złym humorze i chce go na nas wyładować. Jak tam na górze? Czy szybko będzie można wyjść stąd? Czy Francuzi są jeszcze w mieście?

— Nieprędko się wyniosą.

— Niech ich diabli porwą! Już dość mam tylko nocnych spacerów! Nie mógłby pan przynajmniej dać nam innego pomieszczenia?

— Zastanowię się nad tym.

— A co z naszymi prześladowcami? Nie zjawili się jeszcze?

— A i owszem. Było ich dziewięciu. Wydali mi się niezwykłymi ludźmi. Szczególnie jeden: olbrzym, prawdziwy Goliat.

— To zapewne Sternau.

— Dwóch Indian...

— Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce! Co pan z nimi zrobił?

— Ja? Nic. Absolutnie nic, seniorita. Byłem zadowolony, że oni mnie nic nie zrobili.

— Ale przecież postanowiliśmy ich uwięzić!

— Jakże mogłem to zrobić, seniorita?

— Mnie pan o to pyta? Jesteś tchórzem, senior!

— Czy mówi pani poważnie? A więc takie mam podziękowanie za moją ofiarność! Najlepiej zrobię, jeśli wydam was Francuzom!

— Nie żartuj pan! — zawołał Cortejo. — Moja córka nie chciała pana obrazić! Ja również wierzyłem, że uwięzi pan tych drabów. Tak przecież ustaliliśmy. A teraz będziemy musieli czekać na okazję, by ich unieszkodliwić. Ale powiedz nam, senior, co oni mówili, jak się zachowywali...

— Potem. Teraz spełnię waszą prośbę. Jeśli zechcecie pójść za mną, wskażę wam inny pokój.

Ochoczo przystali na tę propozycję. Kiedy minęli korytarz, ujrzeni światelko dobywające się zza jakichś drzwi. Wszedłszy do środka, zobaczyli Manfreda, który siedział przy dziewięciu skrępowanych jeńcach. Cortejo podszedł bliżej i krzyknął zdumiony:

— Niech to wszyscy diabli! Przecież to Sternau!

— Rzeczywiście — dodała dziewczyna. — A tu leży Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i Piorunowy Grot. Sądziłam, że uciekli — zwróciła się do Hilaria.

— Ja tylko żartowałem — oświadczył starzec. — Mnie nikt nie ujdzie.

Już wszyscy więźniowie odzyskali przytomność. Leżeli milcząc, z otwartymi oczami.

— Jest także Mariano! — cieszył się Cortejo. — Do pioruna! Takiej radości już dawno nie zaznałem! A ten tu, a ten... Trudno uwierzyć, ale to naprawdę don Fernando de Rodriganda! Senior, proszę mi powiedzieć, w jaki sposób wy dostał się pan z więzienia?

Wulkan wrzał w piersiach starego hrabiego. Jakże pragnął spotkania z tym łotrem, któremu „zawdzięczał” osiemnaście lat nieszczęść, i jakże to spotkanie wyglądało inaczej, niż sobie wymarzył. Gdyby tak mógł powiedzieć, co o nim myśli! Wiedział wszakże, że w tej sytuacji tylko

sprawi tym przyjemność swemu dręczycielowi, więc nie odezwał się ani słowem.

— A, jesteśmy dumni i odgrywamy jaśnie oświeconego — szydził Cortejo. — Niech i tak będzie! Duma panu przejdzie. — I zwracając się do Hilaria dodał: — Niech pan powie, jak zostali schwytani!

— Później się pan dowie. Teraz musimy przede wszystkim ustalić, co z nimi zrobić.

— Zamknąć, oczywiście! — zawołała Josefa. — W najcięższych lochach, senior! I takie będą dla nich jeszcze za dobre. Codziennie. wymierzać im chłostę, a jedzenie dawać tylko raz na tydzień.

— Prosiłbym panią, abys była nieco wyrozumialsza, seniorita. Może i pani znajdzie się kiedyś w takiej sytuacji, że przyda się jej czyjaś pobłażliwość.

— Żadnej wyrozumiałości! Nieprawda, ojcze?

— Pobłażliwość byłaby nie na miejscu — przytaknął Cortejo.— Straciłem oko. Zabrano mi moją hacjendę i wymordowano ludzi. Nie ma dla nich kary za okrutnej! Gdzie są lochy, w których senior ich uwięzi?

— O piętro niżej. Czy chciałby je pan obejrzyć?

— Oczywiście! Takiego widoku się pozbawić?! Czy zabierzemy ich wszystkich na raz? Ale trzeba by rozluźnić im więzy, aby mogli chodzić.

— Ani myślę! Tym ludziom nie wolno dać najmniejszej okazji do ucieczki. Na razie niech tu zostaną. Potem zaniesiemy ich tam pojedynczo. Chodźmy więc!

Doszli do schodów.

— To tu — powiedział Hilario zatrzymując się w wąskim i długim korytarzu. Z obu stron znajdowały się bardzo małe celki, ledwo mogące zmieścić człowieka. W drzwiach były judasze.

— Czy to te lochy? — zapytała Josefa. — Niech pan pokaże jeden.

Hilario otworzył drzwi i oświetlił celę.

— O, dwa żelazne pierścienie — zainteresował się Cortejo. — Do czego służą?

— Do unieruchomienia więźnia.

— W jaki sposób?

— To misterne cacko, senior. Może się pan sam przekonać.

— Chętnie.

— Ja także! — zawołała Josefa.

— No dobrze. Tu, z prawej strony, jest podwójny loch doskonale nadający się do takiej próby.

Odsunął dwa rygle i weszli do dwumetrowego lochu w kształcie sześcianu. Podłoga była kamienna; ani słomy, ani maty, ani dzbana. Na wprost drzwi, w ścianie, sterczały na wysokości szyi i bioder siedzącego człowieka podwójne pierścienie żelazne.

— W tych pierścieniach zamyka się więźnia? — zapytała Josefa. — Przecież są otwarte, a nie widzę kłódek.

— Nie są one potrzebne. Pierścienie mają sekretny mechanizm, który je zamyka. A zatem, czy państwo chcecie przejść próbę?

— Tak! — odpowiedzieli chórem.

— A więc usiądźcie przy sobie w pierścieniach. Kiedy to zrobili, jednym ruchem zamknął dokoła nich

żelazne obręcze.

— Znakomicie! — zachwyciła się Josefa. — Nic podobnego nigdy nie widziałam!

— Zatem uważacie państwo, że ten loch to dobre więzienie? — zapytał Hilario.

— O, tak! — uśmiechnął się Cortejo. — Nikt się stąd nie wydostanie. Ale otwórz już pan pierścienie. Dostatecznie zakosztowaliśmy tej przyjemności!

— Ależ senior, wszak powiedział pan, że jesteś zadowolony, a pańska córka stwierdziła to samo.

— Oczywiście, jestem zadowolony, że nasi wrogowie będą tutaj uwięzieni.

— A ja się cieszę — przerwał mu Hilario — że nie tylko oni.

Zaległa głucha cisza. Strach pozbawił mowy ojca i córkę. Teraz dopiero zdali sobie sprawę, że wpadli w pułapkę.

— Czy pan oszalał?! — zawołał wreszcie Cortejo.

— Ja?! To pan był szalony, że w tak głupi sposób oddał się w moje ręce. Powiadam panu: nigdy nie wyjdziecie z tego lochu.

— Niech pan nie żartuje dłużej! — błagał Cortejo. — Wiemy już, co chcieliśmy wiedzieć, wiemy, jak się czuje człowiek skazany na zagładę w tym lochu.

— Wcale jeszcze nie wiecie! Dopiero z czasem się przekonacie.

— Senior, jesteś potworem! — krzyknęła Josefa. — Nie możemy zginąć. Ja tego nie wytrzymam!

— Rozumie się — szydził Hilario. — Nikt nie potrafi wytrzymać śmierci.

— Przecież nic złego panu nie zrobiliśmy!

— Faktycznie. Ale czy myślicie, że nie należy mi się zapłata za unieszkodliwienie waszych wrogów?

— Uwolnij nas tylko, a dam panu wszystko, czego zechcesz!

— Nie obiecuj zbyt pochopnie, senior! Nie wiesz przecież, czego od was żądam.

— No, czego?

Doktor zrobił minę, jakby chodziło o bagatelkę:

— Sukcesji hrabiów Rodrigandów.

— Sukcesji... hrabiów Rodrigandów...? Tylko wariat może tego żądać!

— A kim pan byłeś, kiedy uroiłeś sobie, że masz w kieszeni Rodrigandów?

— Jesteś niegodziwym łotrem!

— Niech się pan liczy ze słowami! Sam jesteś największym łotrem, jakiego kiedykolwiek widziałem, spełnię więc dobry uczynek, jeśli pozbawię pana majątku.

— Oszukał mnie pan haniebnie! Bądź przeklęty, szubrawcze!

— Nie gorączkuj się, nic to nie pomoże. Zrobię lepszy pożytek z bogactw Rodrigandów niż pan, który wmówiłeś sobie, że mógłbyś zostać prezydentem. Tak nieuleczalnie głupi człowiek — prezydentem! Ha, ha, ha! Powiadam panu całkiem poważnie, że mam pewne plany, do których wykonania przyda mi się bardzo ten majątek. Mój bratanek Manfredo zostanie hrabią zamiast pańskiego Alfonsa, a ja będę z tego czerpał profity dla siebie.

Oszołomieni Cortejowie nie mogli dobyć głosu, Hilario zresztą nie oczekiwał odpowiedzi. Wziął lampę, wyszedł i zaryglował drzwi za sobą. Wrócił do Manfreda, który, jak mu kazał, pilnował jeńców. Zanieśli ich po kolei do dużego lochu i przymocowali pierścieniami do murów. Hilario polecił bratankowi zaopatrzyć więźniów w wodę i chleb, po czym wrócił do siebie.

— Czy coś mówili? — zapytał Manfreda, gdy ten przyszedł do niego po spełnieniu zadania.

— Nic. Tylko Cortejowie lamentują i wrzeszczą, aż uszy puchną. Czy naprawdę zostawisz ich w lochu?

— Naturalnie.

— I umrą tutaj?

— To się zobaczy. Ale, ale... Mówiłeś mi, że nasi więźniowie ukryli konie w zagajniku. Zwierzęta mogą nas zdradzić. Idź więc tam, zdejmij z nich uprzęż, wyprowadź w pole i rozpuść.

— Szkoda. Lepiej byłoby sprzedać.

— Mogłoby to sprowadzić na nas nieszczęście. A gramy o wyższą stawkę.

Manfredo odszedł posłusznie. Przybywszy do zagajnika sprzął konie razem i sprowadził z góry. Potem skoczył na jednego z nich i prowadząc pozostałe za wodze, pomknął ku równinie. Tam rozsiodłał wierzchowce i rozpędził, po czym pieszo wrócił do miasta. Ślad po dziewięciu jeźdźcach, którzy kilka godzin wcześniej zjawili się pod klasztorem, był całkowicie zatarty.

Nazajutrz Hilario zawołał bratanka i razem zeszli do lochu Corteja i jego córki.

— Czy przychodzi nas pan uwolnić, senior Hilario? — zapytał więzień.

— To zależy od pana. Jestem gotów dać wam lepszą celę, a także wikt, o ile udzieli mi pan szczerych i prawdziwych informacji o korsarzu Enrique'u Landoli.

— Po co to panu?

— To moja rzecz! Przyszedł pan myśliwemu Grandeprise'owi, że wyda mu Landolę?

— Tak.

— A więc sądzi pan, że znajdzie tego człowieka?

— Nie wiem. Ale czego chce senior od Landoli?

— Mam z nim porachunki.

— Uwięzi go pan i będzie dręczyć tak jak nas?

— Tak, a nawet nieco bardziej, oczywiście, gdy go schwytam.

— I ja mu życzę wszystkiego, co najgorsze. Ale niestety nie wiem, gdzie teraz przebywa.

— Ale może się pan dowiedzieć? Cortejo milczał.

— A więc zdecydował pan. Gnijcie tu do końca życia! — powiedział Hilario surowym tonem i skierował się ku wyjściu.

— Na miłość boską! — zawołała Josefa. — Powiedz mu, ojczy! Nie chcę umrzeć, ja muszę żyć! Och, jak mnie bolą piersi!

— Wierzę pani — roześmiał się Hilario. — Źle panią leczono. Mógłbym senioritę wyleczyć, ale widać tego nie chcecie.

— Chcę, chcę! Ojczy, powiedz mu! Błagam!

— Oszuka nas i nie przestanie dręczyć.

— Jeśli szczerze odpowie pan na moje pytania, wyprowadzę was z tego lochu.

— Dobrze więc, odpowiem, ale najpierw zabierz nas stąd, senior.

— Nie dowierza mi pan! No, rozumiem pana. Uwolnię więc was z pierścieni, przedtem jednak mocno zwiążę.

Z pomocą Manfreda spętał Cortejów tak, że mogli się podnieść i powoli poruszać. Dopiero potem odemknął pierścienie.

— Teraz chodźcie za mną! — rozkazał. Zaprowadził ich na koniec korytarza, gdzie mieściła się cela przypominająca raczej pokoik niż więzienie.

— Wejdźcie tutaj! — polecił otwierając drzwi. Odetchnęli z ulgą; można tu było nie tylko stać, ale nawet się położyć.

— Oto wasze obecne mieszkanie. A teraz czekam na informacje! Gdzie i od kogo można się dowiedzieć o miejscu pobytu Landoli?

— Od mego brata — odpowiedział Cortejo.

— A więc w Rodrigandzie, w Hiszpanii? To za daleko. Czy nie ma innego sposobu?

Cortejo spojrział na doktora ze złością.

— Czy naprawdę zostaniemy tutaj i przestanie nas pan głodzić?

— Tak, o ile mnie pan nie okłamie.

— Wyjawię wszystko, senior przysięgnie mi jeszcze, że nie zamorduje nas i że wyleczy moją córkę.

— Przymierzam pod warunkiem, że powie pan prawdę.

— W sprawie tego Landoli pisałem do brata. Ja również chciałem wiedzieć, gdzie drań przebywa.

— I oczekuje pan odpowiedzi?

— Tak. Powinna była już nadejść do mego agenta w Veracruz.

— Dlaczego nie do Meksyku?

— Zapomina pan, że nie mogę się pokazać w stolicy.

— Rzeczywiście. Kto jest pańskim agentem?

— Podam panu jego nazwisko dopiero wówczas, kiedy dostaniemy jedzenie i kiedy pan zbada moją córkę.

— Senior Cortejo, to śmieszne, że pan stawia mi warunki! Ale jestem dziś w dobrym humorze i spełnię je. Manfredo, przynieś wina, chleba i sera, ja tymczasem zbadam senioritę.

Manfredo wyszedł. Zanim wrócił, doktor zbadał Josefę.

— Spełniłem przyrzeczenie. W dodatku obiecuję, że szybko panią wyleczę. A teraz na was kolej.

— Moim agentem jest rybak Gonsalvo Verdillo — oświadczył Cortejo.

— W jaki sposób można od niego wydostać odpowiedź pańskiego brata?

— Wystarczy wysłać gońca.

— Czy wyda ją?

— Jeśli goniec będzie miał list ode mnie.

— Napisze więc pan ten list.

— Pod warunkiem, że będę mógł przeczytać list mego brata.

— Zgoda. Przyniosę przybory do pisania. Manfredo, zostań tutaj.

Oprócz przyborów Hilario przyniósł także stółek. Rozluźnił Cortejowi pęta u rąk, aby mógł swobodnie nimi poruszać. Wkrótce list był gotów. Hilario przeczytał uważnie.

— Nie budzi podejrzeń. Jeśli jednak oszukał mnie pan, źle się to dla was skończy — rzekłszy to, wyszedł wraz z bratankiem i zamknął drzwi na klucz.

— Kto zawiezie list do Veracruz? — zapytał Manfredo. — Amerykański myśliwy.

— Grandepriise? A jeśli będzie się dopytywał o Corteja?

— Zostaw to mnie. Czas nagli. Przyprowadź go więc zaraz do mojego pokoju.

Gdy Grandepriise stanął na progu, Hilario powiedział:

— Mam dla pana polecenie, senior. Był już pan chyba w Veracruz? Chcę pana prosić, abys zawiózł tam list.

Grandepriise odparł z zakłopotaniem:

— Senior uratował mi życie, chciałbym więc wyświadczyć panu tę przysługę, ale teraz jestem na służbie u seniora Corteja i nie mogę się stąd oddalać.

— Właśnie jest to list seniora Corteja! Grandepriise rzucił nań okiem.

— Do stu piorunów, pojmuje! Ten człowiek chce się mnie pozbyć, aby nie spełnić danego mi przyrzeczenia.

— Ma pan na myśli wydanie Landoli w pańskie ręce?

— Tak. Skąd pan wie?

— Cortejo mi powiedział. A przypuszczenie pańskie jest niesłuszne. Senior Cortejo nie chce pana oszukać, wręcz przeciwnie. Wysłał pana do Veracruz właśnie po to, by wywiązać się z przyrzeczenia. Tamtejszy jego agent ma wiadomości o korsarzu.

— Chyba że tak. Ale dlaczego Cortejo sam mi tego nie przekazał?

— Dzisiaj wczesnym rankiem opuścił klasztor.

— To mi się wydaje podejrzane, senior Hilario!

— W obecnej sytuacji zdarzają się rzeczy niezwykłe. Przybył goniec z poleceniem, aby Cortejo natychmiast jechał do Pantery Południa.

— Niech go diabeł porwie!

— Cortejo ledwie zdążył napisać ten list i prosił, bym go panu wręczył. Niech pan czyta.

— Hm, faktycznie jest tu mowa o Landoli. Kto ma być adresatem listu? Pokaż pan!

— Rybak Gonsalvo Verdillo. To właśnie ów agent Corteja. Otrzyma pan od niego pismo z informacjami o Landoli.

— Dokąd mam je przywieźć? Czy do Pantery Południa?

— Nie, do mnie. Cortejo do tego czasu wróci tutaj.

— A więc niech pan daje ten list! Wyruszam natychmiast.

— Niech pan wraca jak najszybciej. Ale proszę być ostrożnym. Dziś nie jest bezpiecznie mieć przy sobie list Corteja.

Tymczasem stan zdrowia starego hacjendera polepszył się znacznie. Było to wielką zasługą Marii Hermoyes, która dniem i nocą opiekowała się swym panem.

Arbellez na tyle odzyskał siły, że spróbował wstać z łóżka. Siedział oto okryty kocami przy oknie wychodzącym na północ i rozmawiał z Marią.

— Wszystko bym zniósł, bylebym tylko zobaczył ją raz jeszcze — mówił. — Dlaczego dotąd jej nie ma? Miała przecież już dawno przyjechać!

— Nie wolno tracić cierpliwości, senior. Juarez na pewno ją przywiezie.

Podeszła do okna, zasłoniła oczy ręką i spojrzała uważnie na drogę.

— Senior, zdaje się, że widzę jeźdźców.

— Santa Maria? Może to nareszcie Juarez! Oboje wyteżyli wzrok.

— To jakiś oddział — powiedział Arbellez. — Są tam biali i Indianie. Oby moja córka była z nimi!

Zamknął oczy ze wzruszenia, ale słuch rejestrował coraz bliższy tętent koni. Wkrótce rozległy się radosne okrzyki powitania. Po chwili usłyszeli szybkie, zdecydowane kroki na schodach. Otworzono na oścież drzwi. Arbellez utkwiał wzrok w człowieku, który przestępował próg.

— Juarez — szepnął słabym ze wzruszenia głosem. — Prezydent! — zawołała Maria.

— Tak, to ja — uśmiechnął się Zapoteka. — Witam pana z Bogiem, senior Arbellez! Jak się panu wiodło?

— Źle, bardzo źle, senior — odpowiedziała Maria.

— Josefa Cortejo wtrąciła go do lochu. Miał tam umrzeć z głodu. Nasz dobry pan straszliwie cierpiał.

Juarez ściągnął groźnie brwi. Chciał o coś zapytać, ale przeszkodził mu radosny okrzyk:

— Ojczy!

— Emmo, moje dziecko!

Z zamkniętymi oczami wyciągnął ramiona. W milczeniu trzymali się w objęciach. Łzy tylko spływały obojgu po policzkach.

Juarez ujął Marię za rękę i wyprowadził z pokoju.

— Zostawmy ich samych. Ta szczęśliwa chwila należy wyłącznie do nich. Ale powiedz mi, gdzie jest senior Sternau.

— Wyjechał. A także Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i inni towarzysze doktora. Dokąd, nie wiadomo.

— Musieli przecież powiedzieć.

— Nie mogli, bo sami nie wiedzieli. Udali się w pościg za Josefą Cortejo.

W paru słowach poinformowała prezydenta o wszystkim, co zaszło w hacjendzie. Tymczasem nadeszła Karia. Wraz z Marią weszła do Arbellezów, aby przywitać się ze starcem, Juarez zaś zajął się swoimi sprawami.

Pół godziny później prezydent rozmawiał w swoim pokoju z lordem Drydenem. Zapukano do drzwi i stanął w nich wódz Miksteków. Trzymał w ręku jakieś papiery.

— Co mój brat przynosi? — zapytał Juarez.

— Listy dla ciebie od pewnej kobiety. Senior Sternau pojechał ścigać wrogów i spotkał ją po drodze. Wziął od niej listy i przesłał tutaj.

Były to owe odpisy, które zrobiła Emilią z tajnej korespondencji doktora Hilaria. Bawole Czoło wyszedł. Juarez przeprosił lorda, zaczął przeglądać dokumenty. Po chwili Anglik ujrzał na jego twarzy wyraz skupionej uwagi.

Wreszcie Zapoteka skończył czytać.

— Proszę mi wybaczyć, senior, że trwało to tak długo. Ale nie mogłem przerwać lektury. To bardzo ważne wiadomości. Opowiadałem panu o seniorcie Emilii?

— Tym pańskim szpiegu?

— Raczej nazwałbym ją sojuszniczką. Zawdzięczam jej bardzo wiele. Teraz znowu wykonała coś, co tylko jej mogło się udać. Jeszcze dziś muszę opuścić hacjendę, aby jak najszybciej znaleźć się w Durango.

— To ryzykowne.

— Bynajmniej. We wszystkich obozach oczekują mnie niecierpliwie. Są gotowi do walki. Czytaj, senior!

Dryden przejrzał odpisy.

— Czy jest pan pewny, że to wiarygodne dokumenty?

— Całkowicie.

— W takim razie rzeczywiście nie wolno panu tracić czasu i musi pan natychmiast wyruszyć. Ale ja...

— Pan wypocznie i pojedzie za mną, gdy wróci senior Sternau.

— Sądzi pan, że on przybędzie do hacjendy?

— Na pewno. Jak tylko schwyta Corteja i jego córkę. Tragedia Rodrigandów dobiega końca i winni poniosą zasłużoną karę.

Przed wieczorem prezydent opuścił hacjendę. Zabrał z sobą wojsko, zostawiając niewielką załogę. Hacjenda była dla Juareza ważnym punktem strategicznym na drodze do północno-wschodnich prowincji kraju.

ZAKŁAD

W pobliżu ogrodu zoologicznego, w jednej z najprzedniejszych winiarni berlińskich, odwiedzanej wyłącznie przez oficerów i wysokich urzędników, zebrała się pewnego razu grupka młodych ludzi, którzy jak wskazywały uniformy, należeli do rozmaitych rodzajów broni. Spotkali się przy śniadaniu i wkrótce poczuli ożywiające działanie wypitego wina.

Śniadanie było stawką pewnego zakładu. Podporucznik von Ravenow, huzar gwardii, właściciel olbrzymiego majątku, miał sławę najprzystojniejszego i najwytworniejszego oficera, cieszył się powodzeniem u kobiet i chełpił, iż nigdy nie dostał kosza. Niedawno pojawił się w Berlinie pewien rosyjski książę z córką wyjątkowej urody, wokół której skupił się cały kawalerski stan. Zdawało się, że piękna Rosjanka niewiele sobie robi z tych hołdów. Z taką dumą nie dopuszczała do najdrobniejszej nawet poufałości, że powszechnie zaczęto ją uważać za wroga rodzaju męskiego. Wśród tych, których względy odrzuciła, był także von Golzen, podporucznik kirasjerów gwardii; doznał publicznej, w obecności kolegów, a zatem wielce nieprzyjemnej odprawy. Najbardziej kpił sobie z niego von Ravenow. Urażony von Golzen założył się z huzarem przy świadkach, że i on dostanie kosza. Von Ravenow wygrał, od kilkunastu bowiem dni pokazywał się w towarzystwie Rosjanki. Nie ulegało wątpliwości, że cieszy się jej względami.

Dziś właśnie von Golzen uiszczał dług, koledzy zaś dbali, aby „umilić” mu przyjęcie.

— Tak, mój drogi von Golzen, tobie idzie jak i mnie!

— mruczał wysoki, chudy kapitan w uniformie strzelców.

— My obaj nie mamy szczęścia do hymenu, licho wie, z jakiego powodu.

— Ba! — roześmiał się von Golzen. — Jeżeli chodzi o ciebie, to nietrudno zrozumieć, czemu kobiety nie darzą cię sympatią. Ta, która by cię poślubiła, musiałaby zbierać kości na przestrzeni trzech mil, a to praca dla anatoma, nie dla kobiety. Co się mnie tyczy — nic nie zraniło mojej dumy. Wprawdzie przegrałem zakład, ale nie dlatego, że dostałem kosza, lecz że von Ravenow go nie dostał. Jestem przekonany, że i tak wkrótce go otrzyma.

— Co też ty! — oburzył się von Ravenow. — Gotowym pójść o nowy zakład, że z każdą odniosę zwycięstwo.

— Oho! — rozległo się dokoła.

— Powtarzam: Każdy zakład o każdą dziewczynę! Na honor!

Uderzył ręką w miejsce, gdzie zwykle tkwiła rękojeść szabli, teraz odłożonej, i obrzucił wszystkich wyzywającym spojrzeniem. Jego zarumienione policzki świadczyły, że nie skąpił sobie wina i skory był do przechwałek. Von Golzen podniósł ostrzegawczo palec.

— Miej się na baczności, mój drogi, bo będę cię trzymać za słowo.

— Proszę bardzo! Jeśli zechcesz się wycofać, oświadczę wszem wobec, że lękasz się płacenia za drugie śniadanie!

Von Golzen podniósł się i zawołał:

— Godzisz się na każdy zakład?

— Tak.

— Stawiam swojego kasztana przeciw twojemu arabowi.

— Do stu piorunów! To piekielnie nierówne stawki! Ale przyjmuję. Która to dziewczyna?

W oczach von Golzena rozpały się złośliwe ogniki.

— Nieznajoma z ulicy. Pierwsza, którą ci wskażę wśród przechodniów.

Oficerowie wybuchnęli głośnym śmiechem. Jeden zaczął klaskać w dłonie.

— Bravo! Von Golzen pragnie poświęcić swego kasztana, byleby von Ravenow wsławił się

zdobyciem szwaczki czy panny sklepowej.

— Protestuję! — wykrzyknął huzar. — Mówilem wprawdzie „każda”, ale chyba mogę żądać, abyś wybrał spośród przejeżdżających, a nie przechodzących dziewcząt.

— Zgoda! Pójdę ci jeszcze bardziej na rękę: nie wybiorę pasażerki zwyczajnej dorożki.

— Dziękuję! Ile czasu mi dajesz na zdobycie nieznajomej?

— Pięć dni licząc od dzisiejszego.

— Znakomicie! A więc możemy zaczynać!

Podniósł się i przypasał szablę. Prawie nie widać było po nim, że jest podchmielony. Miał tak pewny siebie, drwiący uśmiech na ładnej twarzy, że kto patrzył nań, nie wątpił, iż taki mężczyzna potrafi spożytkować to, czym obdarzyła go natura.

W pokoju zapanowało pełne napięcia oczekiwanie. Oficerowie stanęli przy oknach i obserwowali przejeżdżające powozy. Którą damę wskaże von Golzen? Prawie każda im się podobała.

— Wspaniałe! Szykowne! Prześliczne! Niezwykłe!

— wołali co chwila.

— Ale ta najcudowniejsza! — wykrzyknął jeden z nich, wskazując ręką na podjeżdżający właśnie powóz.

— Gdzie? Gdzie? — dopytywali się rozgorączkowani.

— Tam, na rogu ulicy.

— Na Boga, masz rację! Kto to może być?

Powóz jechał dość szybko. Siedziała w nim starsza dama i młodziutka dziewczyna o delikatnych rysach. Twarzyczkę oblewał delikatny rumieniec, piękne, gęste włosy splecione były w dwa długie warkocze.

Von Golzen przyjrzał jej się uważnie.

— Von Ravenow, to ta! — zadecydował.

— Z całą przyjemnością!

— W czepku urodzony, na honor! — mruknął chudy kapitan, spoglądając z zawiścią na wybiegającego huzara.

— Jestem ciekaw, jak się do tego weźmie!

— Pojedzie za nimi dorożką, aby poznać adres.

Von Golzen roześmiał się chłodno.

— Nie. Straciłby zbyt dużo czasu. Jak najszybciej postara się nawiązać z nimi rozmowę.

— W jaki sposób?

— To już jego rzecz! Ma w tym względzie spore doświadczenie, a i swojego araba nie zechce stracić.

— Aha, rzeczywiście wsiada do dorożki i jedzie za nimi. Gdybym mógł być przy tym!

Wkrótce powóz i dorożka skręciły ku ogrodowi zoologicznemu i zniknęły im z oczu.

Gdy wjechali na mało uczęszczaną alejkę, von Ravenow kazał dorożkarzowi popędzić konia i jednocześnie sięgnął do kieszeni po zapłatę. Kiedy zrównali się z powozem, podporucznik przechylił się w stronę dam, robiąc zdziwony wyraz twarzy. Ukłonił się tak, jak gdyby spotkał znajome, skinął na stangreta, aby się zatrzymał, i wyskoczył z dorożki. Po chwili już siedział w powozie, udając, że nie spostrzega zdumionych, ba, nawet rozgniewanych twarzy dam. Wyciągnął obie ręce do dziewczyny i zawołał z uśmiechem:

— Paula, czy to możliwe? Co za spotkanie! Pani w Berlinie? Czemu nie uprzedziła mnie pani listownie?

— Mój panie, co to za maniery?! — rzekła ostrym tonem starsza dama.

— Ach, szanowna pani, proszę o wybaczenie! Nie miałem jeszcze przyjemności poznać pani, ale Paula zaraz to naprawi — i zwracając się do dziewczyny dodał: — Proszę, łaskawa pani, abyś zechciała przedstawić mnie tej damie!

Przyjrzała mu się uważnie.

— Nie mogę tego uczynić — rzekła melodyjnym głosem — ponieważ nie znam pana.

— Jak to? Wypiera się mnie pani, Paulo? Czym sobie na to zasłużyłem? Aha, zapomniałem, że pani zawsze lubiła żartować.

Znowu przeszył go jej wzrok, tym razem jeszcze poważniejszy. Odpowiedziała z godnością:

— Nie żartuję z osobami, których nie znam lub których znać nie chcę, mój panie. Mam nadzieję, że tylko wielce dla mnie nieprzyjemne podobieństwo do jakiejś pańskiej znajomej upoważniło pana do zatrzymania naszego powozu. Proszę więc, abyś się przedstawił!

Bardzo dobrze udał zakłopotanie i odpowiedział z równie udaną skwapliwością:

— Ach, mój Boże, miałbym się aż tak pomylić? To niemożliwe. Nie zdarza się tak uderzające podobieństwo!

— I z głębokim ukłonem dodał: — Jestem hrabia Hugo von Ravenow, podporucznik huzarów gwardii jego królewskiej mości.

— A więc potwierdza się, że pana nie znamy — stwierdziła dziewczyna. — Nazywam się Róża Sternau, a ta pani jest moją babką.

— Róża Sternau? — powtórzył, symulując przestach.

— Co się ze mną dzieje? Padłem ofiarą niebywalej pomyłki i proszę o łaskawe wybaczenie!

— Jeśli naprawdę zachodzi tu tak niezwykle podobieństwo, musimy panu wybaczyć — odpowiedziała Róża, lecz zarówno jej głos, jak i spojrzenie przeczyły tym słowom. — Czy mogę wiedzieć, kim jest mój sobowtór?

— Oczywiście, oczywiście, panno Sternau! To moja kuzynka, panna von Marsfelden.

— Marsfelden? — Róża spojrzała porozumiewawczo na babkę. — Gdzie przebywa owa kuzynka?

Twarz podporucznika rozjaśniła się zadowoleniem. Sądził, że damy chętnie nawiążą z nim rozmowę, a tego właśnie pragnął. A w ogóle myślał, że ma przed sobą łatwe zadanie. Panie nazywały się tylko Sternau, bez „von”, były zatem mieszcżankami — a której to mieszcżanki nie uszczęśliwiłoby poznanie podporucznika gwardii, tym bardziej hrabiego? Odpowiedział zatem bez zająknienia:

— Paula von Marsfelden mieszka w Darmstadcie. Dlatego zdziwiłem się, widząc ją w Berlinie. Muszę od razu dzisiaj napisać do niej, że w stolicy znajduje się tak piękny i godny podziwu jej sobowtór. Róża uśmiechnęła się ironicznie.

— Radzę panu zaoszczędzić sobie tego trudu.

— Dlaczego?

— Ponieważ ja sama zawiadomię o tym pannę von Marsfelden.

— Pani? Jak to?

— Jest moją przyjaciółką.

— Ach!

— Zląkł się pan? — zauważyła zimno Róża. — A więc, istotnie, nie pomyliłam się. Mój panie, jesteś wprawdzie hrabią i oficerem, ale nie człowiekiem honoru!

— Pani! — wyjąkał.

— Podporuczniku — powiedziała z głęboką pogardą.

— Gdyby pani była mężczyzną, musiałaby natychmiast służyć mi satysfakcją! Cóż jestem winien, że zwiódło mnie, przysięgam na honor, tak uderzające podobieństwo?

— Milcz pan! Gdybym była mężczyzną, biłabym się tylko z ludźmi godnymi satysfakcji. A pańskie zachowanie i słowa zdradzają brak honoru. Co się bowiem tyczy podobieństwa, na które się powołujesz, to wierutne kłamstwo. Panna Marsfelden tak jest do mnie podobna jak pan do honorowego człowieka. Szukał pan po prostu łatwej przygody i znalazł ją, aczkolwiek w innej formie, niż pan sądził. A więc zabawa skończona. Proszę opuścić powóz!

Takiej odprawy von Ravenow nigdy dotąd nie doznał. Ale nie chciał jeszcze dać za wygraną. Arab był zbyt kosztowny!

— No, dobrze, szanowna pani. Nie mam wyboru i muszę wyznać pani prawdę, chociaż obawiam się, że rozgniewam ją jeszcze bardziej.

— O gniewie nie ma mowy — uśmiechnęła się z ironią.. — Nie wzbudził pan mojego gniewu, lecz pogardę. Nie interesują mnie pana wyjaśnienia i żądam po raz drugi, abyś opuścił nasz powóz!

— Nie i jeszcze raz nie! Musi mnie pani wysłuchać!

— Muszę?!

Rozglądała się dokoła, podczas gdy podporucznik mówił, niezrażony:

— Od tygodni chodzę za panią, od chwili, kiedy po raz pierwszy panią ujrzałem. Widok pani przepełnił moje serce nie znanym mi dotąd uczuciem..

— Chodzi pan za mną od tygodni?

— Tak, na honor, łaskawa pani!

— Tu, w Berlinie?

— Tak — spuścił nieco z tonu.

— No, więc oświadczam panu, że znowu kłamiesz. Nigdy przedtem nie byłam w Berlinie, a jestem tutaj dopiero od wczoraj. Ubolewam nad armią, w której są tacy ludzie jak pan i mówię po raz ostatni: proszę opuścić powóz!

— Nie odejdę, dopóki się nie wytłumaczę, a jeżeli nie zechce mnie pani wysłuchać, to i tak zostanę, aby poznać pani adres i usprawiedliwić się przed nią w domu.

— Sądzi pan, że dwie kobiety są zbyt słabe, aby się obronić? Janie, zatrzymaj się!

Stangret osadził konie... tuż obok policjanta. Podporucznik, odwrócony plecami, nie widział stróża porządku. Oparł się wygodnie o poduszki i postanowił grać dalej komedię.

— Panie władzo! Czy mógłby pan podejść? — zawołała Róża.

Von Ravenow szybko się odwrócił. Ujrzawszy policjanta, zrozumiał zamiar panny. Otworzył usta, aby jakimś dowcipnym słówkiem rozładować sytuację, ale Róża uprzedziła go.

— Panie posterunkowy, ten człowiek wdarł się do naszego powozu i nie chce go opuścić. Proszę nam pomóc!

Policjant ze zdumieniem spojrzał na oficera. Podporucznik zdał sobie wreszcie sprawę, że przegrał i że tylko najszybszy odwrót może go uchronić od nieprzyjemności. Wsiadł więc mówiąc:

— Ta pani żartuje, ale postaram się, aby wkrótce spoważniała.

Róża poczekała, aż odejdzie kilkanaście metrów, podziękowała policjantowi, a stangretowi kazała jechać dalej.

Von Ravenow był wściekły. Nikt dotychczas tak go nie upokorzył i to w obecności osób trzecich.

— Zapłacisz mi za to, pannico! — mruczał do siebie. Nadjechała pusta dorożka. Wsiadł do niej i polecił

woźnicy dogonić powóz, który widniał jeszcze w oddali. Za wszelką cenę musiał poznać adres Róży Sternau.

Po krótkiej przejażdżce po ogrodzie panie wróciły do miasta. Powóz zatrzymał się przed piękną willą na jednej z głównych ulic. Panie wysiadły witane przez lokaja w liberii. Von Ravenow wiedział, co chciał wiedzieć. Zauważył, że na wprost willi znajduje się gospoda, i postanowił tam zasięgnąć informacji.

Ale nie zrobił tego od razu. Najpierw poszedł do swego domu i przebrał się w cywilne ubranie. Miał nadzieję, że dzięki temu Róza, jej babka i Stangret nie poznają go, gdyby przypadkowo go zobaczyli.

W ogóle już nie czuł alkoholu wypitego przy śniadaniu. Mógł więc pozwolić sobie na kilka kufli piwa w gospodzie. Był jedynym gościem. Gospodarz wydał mu się odludkiem, ponurym, zamkniętym w sobie i milczącym. Nie ma co go pytać — pomyślał — może wkrótce znajdzie się bardziej interesujący rozmówca. Nie czekał długo. Zobaczył przez okno, że jakiś jegomość wychodzi z willi i kieruje się do szynku. Już w progu zamówił kufel piwa, wziął gazetę i usiadł przy stole. Niebawem jednak odłożył ją i zaczął rozglądać się dokoła.

To dobry kandydat do rozmowy — ucieszył się podporucznik. Z postawy nieznajomego poznał byłego żołnierza. Po chwili siedzieli już przy jednym stole i z ożywieniem rozprawiali o wojnie, pokoju i o tym wszystkim, o czym się zwykle rozmawiać w gospodzie.

Gdy pierwsze lody zostały przełamane, von Ravenow powiedział:

— Panie, miarkuję z pańskiej mowy, że był pan w wojsku.

— Rzecz jasna! Byłem podoficerem!

— Ja też jestem podoficerem!

— Pan? — nieznajomy z powątpiewaniem przyjrzał się delikatnym rękom kompana. — To czemu nie nosisz munduru?

— Jestem na urlopie.

— Być może, być może — mruknął były wojak, ale z jego tonu należało wnosić, że nie wierzy rozmówcy.

Podporucznik zmieszał się trochę, ale pytał dalej:

— Jak się pan nazywa?

— Ludwik Straubenberger.

— Mieszka pan w Berlinie?

— Rozumie się. Tam, naprzeciw, w willi hrabiego Rodrigandy.

— To Niemiec, prawda?

— Hiszpan. Kupił ją niedawno.

— Czy ma dużo służby?

— Hm, nie za dużo.

— Czy któryś z jego urzędników nazywa się Sternau? Ludwik nastawił ucha. Był prostym człowiekiem, ale wyczuł, że chcą go wy badać. Ten człowiek nie wyglądał na podoficera, a w dodatku woźnica dopiero co opowiadał o przygodzie w ogrodzie zoologicznym... Postanowił mieć się na baczności.

— Sternau? — powtórzył przeciągle.

— Co to za człowiek?

— Stangret:

— Do licha! Stangret? Czy ma matkę i córkę?

— Rozumie się.

— Czy te obie kobiety były niedawno powozem na przejażdżce w ogrodzie zoologicznym?

— Tak.

— Ależ one nie wyglądały na panie stangretowel

— Hrabia tak sownie płaci swej służbie, że i jej rodziny mogą się stroić jak damy i panowie.

Zresztą, nie pojechały na spacer. Sternau miał wypróbować nowe konie cugowe, a ponieważ na jedno wychodzi, czy powóz jest pusty czy zajęty, więc zabrał ze sobą obie kobiety.

— Do stu piorunów! Była rzeczywiście grubiańska jak córka woźnicy! — wyrwało się podporucznikowi.

— Ach, tak?! To pan usłyszał z jej ust coś niemiłego? Popatrzył drwiąco na von Ravenowa. Ten połapał się, że strzelił głupstwo i usiłował naprawić błąd.

— Tak, coś niecoś słyzałem. Byłem w ogrodzie zoologicznym. Przede mną zatrzymała się karetka. Jakiś oficer musiał z niej wysiąść, bardzo skompromitowany.

— Hm! A skąd pan wie, że te panie nazywają się Sternau, he?

— Wymieniły swoje nazwisko policjantowi.

— Dlaczego wprost z ogrodu przyszedł pan tutaj i wypytuje mnie o nie?

— Nie wypytuję, ale pytam z prostej ciekawości.

— Z ciekawości, powiadasz? Miej się pan na baczności, aby moja ręka nie pogłaskała pana po buzi!

— Co to ma znaczyć?

— Ano to, że Ludwik Straubenberger nie da się wystrychnąć na dudka. Jaki tam z pana podoficer? To pan jesteś owym podporucznikiem, pędziwiatrem, którego tak pięknie ośmieszyła córka stangreta! A teraz przyszedłeś tutaj, aby szpiegować! Radzę ci, zmykaj. Teraz odchodzę, ale za pięć minut wrócę ze stangretem i z innymi, którzy chętnie zobaczą wesołą scenkę. Jeżeli stangret pozna pana, wygarbujemy pańską oficerską skórę! Obiecuję! Do zobaczenia!

Ludwik podniósł się, zapłacił za wino i wyszedł. Zaledwie zniknął w bramie willi, von Ravenow także opuścił szynk. Nie miał ochoty na spotkanie z tego rodzaju ludźmi i przeklinał dzisiejszy dzień, w którym wszystko sprzysięgło się przeciw niemu.

Tymczasem nadeszła pora, w której nieżonaci oficerowie zbierali się w kasynie na obiad. Von Ravenow też się tam zjawił. Właśnie żywo omawiano jego niezwykły zakład. Zasypano go mnóstwem pytań. Usiłował nie odpowiadać, nie mógł się jednak wykręcić. Rzekł więc:

— Co się będę o tym rozwodził? Mam pięć dni czasu, chociaż zakład jest już wygrany.

— Daj dowód, a zapłacę jeszcze dzisiaj — oświadczył mu von Golzen.

— Dowód? — roześmiał się von Ravenow. — Czego tu należy dowieść? Nie wątpicie chyba, że potrafię zdobyć córkę stangreta.

— Stangreta? — zdumiał się von Golzen. — Niemożliwe!

— Jej ojciec nazywa się Sternau i jest stangretem hrabiego Rodrigandy.

— Nie mogę w to uwierzyć! Ta dama córką stangreta?...

— A więc pójdz tam i sam się przekonaj!

— Zrobię to. Taka piękność zasługuje na to, by się nią interesować. Ale ty i tak musisz udowodnić, że zyskałeś jej względy. W przeciwnym razie nie dostaniesz kasztana,

— Mniejsza z tym. Nie możesz ode mnie żądać, bym się afiszował z córką stangreta i dostarczał dowodów, że uszczęśliwiła mnie łaskawie swoimi względami!

— Jak zakład, to zakład — upierał się von Golzen. — Jeśli chcesz wygrać, musisz przedstawić dowód. W jaki sposób — to twoja rzecz. Żadnego zakładu nie może rozstrzygnąć zwykłe zapewnienie. Co pan o tym sądzi, kapitanie Shaw? Jest pan tu obcy, a zatem nie zainteresowany w tej sprawie.

Słowa te skierował do wysokiego, szczupłego mężczyzny, który siedział przy stole. Choć nosił

cywilne ubranie, bywalcy kasyna wiedzieli, że to kapitan marynarki Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wyglądał na przeszło sześćdziesiąt lat i miał twarz prawdziwego Jankesa. Podobno — jak sam rozповідаł — został delegowany przez Kongres, aby zbadać stosunki w marynarce niemieckiej. Z początku obojętnie przysłuchiwał się rozmowie, usłyszawszy jednak nazwisko Rodrigandy i Sternaua nadstawił ucha. Chciał właśnie odpowiedzieć von Golzenowi, gdy otworzyły się drzwi i wszedł porucznik huzarów gwardii, noszący odznakę adiutancką. Rzucił czapkę na krzesło z miną, która wyraźnie zdradzała zły humor.

— Hola, von Branden, co się stało? — zapytał jeden z oficerów. — Czyżbyś dostał od starego po nosie?

— To i jeszcze coś gorszego! — odburknął gniewnie.

— Do diabła! Dlaczego?

— Pułk źle jeździ konno i w ogóle nie ma już prawdziwych oficerów z klasą, tak mówi pułkownik. Miałem to panom zakomunikować, aby oszczędzić wam wysłuchiwanie tej opinii przed frontem.

Adiutant chwycił pierwszą z brzegu szklanekę i rzucił nią o ziemię.

— Nie ma oficerów z klasą! Co za brednie! Do tego doszło! Nie możemy na to pozwolić! — rozległy się pełne oburzenia głosy.

Kiedy się wykrzyczeli, adiutant ciągnął dalej:

— Jeśli na górze ma się takie o nas pojęcie, to nic dziwnego, że oficerów gwardii dobiera się teraz spośród najciemniejszych typów. Mam wam przedstawić nowego kolegę.

— Na miejsce zmarłego von Wiersbickiego? Co to za jeden?

— Podporucznik liniowy. Z Hesji.

— Do licha! Z linii do huzarów! I to do jazdy gwardii!

I do tego z Hesji! Do kata z tymi nowymi stosunkami!

— Nie słyszeliście jeszcze nazwiska.

— Jakże się nazywa?

— Unger.

— Unger? — zdziwił się von Ravenow. — Nie znam żadnego Ungera, na honor, von Unger, hm... naprawdę nie znam!

— Jaki tam „von”! — rzekł ze złością adiutant. — On nazywa się po prostu Unger.

Oficerowie zerwali się z miejsc.

— Mieszczanin? Nie szlachcic?

— Tak. Źle jest z huzarami gwardii. Jak mi wściekłość do głowy uderzy, podam się do dymisji. Myślałem, że mnie piorun trzaśnie, kiedy zapisywałem tego nowego, tak zwanego kolegę. Ma lat dwadzieścia pięć, służył w darmstadzkim liniowym pułku, ojciec jego jest dzierżawcą małego folwarku w pobliżu Moguncji, a poza tym kapitanem na jakimś starym statku. Majątku nie posiada, ale za to, zdaje się, jest protegowanym wielkiego księcia Hesji. Major klnie, na czym świat stoi, pułkownik klnie, generał klnie, wszystkie ekscelencje klną, ale te przekleństwa na nic się nie zdadzą, gdyż podporucznika wprowadzają z góry. Trzeba go przyjąć i tolerować.

— Tolerować? Nigdy! — zawołał hrabia von Ravenow. — Jeżeli o mnie chodzi, nie zniosę chłopaka czy pachółka okrętowego. Tego draba trzeba wysiudać z pułku.

— Tak, wysiudać to nasz obowiązek! — potwierdził ktoś, a reszta przytaknęła. Jakiś tam Unger nie może pełnić służby w korpusie oficerskim jazdy, postanowiono.

Trudno się dziwić takiej reakcji oficerów, jeśli zważyć, że pierwszym i nieodzownym warunkiem wstąpienia do gwardyjskich pułków był herb. Składały się więc one z samych szlachciców, których

rozpierała duma rodowa.

Zainteresowani młodzi ludzie nie zwrócili uwagi, że temat ich rozmowy bardzo zainteresował amerykańskiego kapitana. Wprawdzie starał się ukryć zaniepokojenie, nietrudno jednak było spostrzec błyski, które od czasu do czasu rzucał spod krzaczastych brwi.

— A kiedy ujrzymy tego nowego? — zapytał ktoś.

— Jeszcze dzisiaj — odpowiedział adiutant. — Przed południem składał pożegnalne wizyty, po obiedzie miał zgłosić się do pułkownika, wieczorem zaś ja będę miał zaszczyt przedstawić go tutaj kolegom.

— Nie przychodzimy więc dzisiaj — zaproponował von Ravenow.

— Dlaczego to, mój miły? Taka demonstracja niczego nie rozwiąże. Lepiej od razu pokazać mu, czego się może po nas spodziewać.

Propozycja uzyskała powszechną zgodę. Młody oficer nie przeczuwał, jaką rozpętał burzę.

MIESZCZANIN OFICEREM

Roseta Sternau kupiła w Berlinie willę i uciekając od samotności w Reinswalden spędzała tutaj każdego roku kilka tygodni. Dnia, poprzedzającego opisane wypadki, przybył do stolicy don Manuel wraz ze starą panią Sternau i wnuczką. Tego właśnie dnia Kurt Unger wyjechał z Darmstadtu. Gdy zjawił się w willi hrabiego Manuela, Róża i jej babka nie wróciły jeszcze ze wspomnianego spaceru.

Kurt był w stałych rozjazdach służbowych. Dopiero przed kilkoma dniami wrócił z kolejnego wojażu i pochłonięty obowiązkami nie mógł wyrwać się od razu do Reinswalden. Kiedy zaś wreszcie odwiedził matkę i starego kapitana von Rodensteina, dowiedział się, że Róża pojechała do Berlina.

Teraz stał w swoim pokoju i wkładał mundur galowy, szykując się do składania wizyt. Świetnie wyglądał w uniformie huzarskim. Wyrósł na okazałego mężczyznę. Wprawdzie nie był zbyt wysoki ani barczysty, ale cała postura świadczyła o jego dobrym zdrowiu fizycznym i psychicznym. Miał mocną, trochę wysuniętą brodę, wysokie, szerokie czoło, a wyraz twarzy poważny, skłaniający do szacunku.

Nagle rozległ się turkot nadjeżdżającego powozu. Kurt podbiegł do okna, lecz ujrzał tylko cień znikających w bramie kobiet.

— Różyczka — szepnął, uśmiechając się do siebie. — Ach, jakże dawno jej nie widziałem. Na pewno bardzo się zmieniła. W jej wieku jeden tydzień przynosi więcej zmian niż później cały rok. Muszę natychmiast ją zobaczyć!

Zszedł szybko na dół do salonu. Don Manuel właśnie witał się z obiema paniami. Tu, w jasnym pokoju, uroda dziewczyny mogła oszołomić każdego. Odziedziczyła ją po obojgu rodzicach. Sternau, jej ojciec, był przystojnym mężczyzną, wyróżniającym się olbrzymim wzrostem i potężną budową, matkę zaś, Rosetę de Rodriganda, powszechnie uważano za piękność.

Kurt stał na progu zachwycony. Różyczka odwróciła się raptownie.

— Kurt, nasz kochany Kurt! — zawołała, wyciągając do niego rękę.

Usiłował opanować wzruszenie i gwałtowne bicie serca. Ukłonił się nisko, ujął dłoń dziewczyny i lekko pocałował. Nie mógł jednak wykrztusić słowa.

Spojrzała nań ze zdumieniem, unosząc brwi:

— Tak obco i oficjalnie?! Czy pan porucznik już mnie nie zna?

— Nie znać pani, łaskawa pani?! Raczej bym siebie samego nie znał!

— Pani, łaskawa pani! — przedrzeźniała ze śmiechem, klaszcząc w dłonie. — Przypomniałeś sobie zapewne, że moja matka jest hrabianką de Rodriganda?

— No tak — odpowiedział zakłopotany.

— Dlaczego dawniej nie pamiętałeś o tym? Byłam Różyczką, a ty byłeś Kurtem. I tak będzie nadal. Chyba że pan porucznik wbił się w dumę, od czasu gdy go mianowano, jak słyszałam, oficerem gwardii...

Teraz dopiero przyjrzała mu się badawczo. Nie zauważyła na jego twarzy dawnego szelmowskiego uśmiechu, któremu towarzyszyły dwa dołeczki w policzkach.

Kurt patrzył na Różę pełnym oddania wzrokiem.

— Dziękuję ci, Różyczko! — rzekł rozpromieniony, chwytając jej rękę. — Jestem nadal dawnym Kurtem, gotowym pójść dla ciebie w ogień lub walczyć z całą armią wrogów!

— Zawsze się poświęcałeś dla płoczej, niewdzięcznej Różyczki. Nie każę ci wejść do ognia ani walczyć z całą armią wrogów. Chociaż dzisiaj powinnam właściwie wręczyć miecz swemu

wiernemu rycerzowi...

— Czy ktoś cię obraził? Kto śmiał?! — przerwał ze zmienionym wyrazem oczu.

— Trochę — odpowiedziała. — To był...

— Mów szybciej, moje dziecko — niecierpliwił się don Manuel.

— Podporucznik von Ravenow. Służy w huzarii, a więc jest towarzyszem Kurta. Ale odparłam zwycięsko nikczemny atak. Prawda, babciu?

— O, tak! Nie sądziłam, że moje dziecko potrafi się tak zachować!

— Opowiadajcie więc wszystko po kolei — poprosił hrabia.

Usiedli i starsza pani zdała sprawę z przygody w ogrodzie. Hrabia zachował spokój, ale Kurt nie panował nad nerwami. Ledwo pani Sternau skończyła opowiadać, poderwał się z krzesła i zawołał:

— Na Boga, to nikczemność! Ten człowiek odpowie mi za to!

— Ależ, drogi Kurcie, zastanów się, co chcesz zrobić — powiedział don Manuel. — Przecież nie możesz zaraz na wstępie zrazić do siebie kolegów!

— Kolegów? Zostałem uprzedzony, że wszyscy jak jeden mąż wystąpią przeciwko mnie. W gwardii ignoruje się oficerów-mieszczan. Wyzywając tego Ravenowa, nie powiększę liczby nieprzyjaciół.

— Pomówimy o tym później — nie ustępował hrabia Manuel. — A teraz najwyższy już czas, byś się stawił u ministra wojny. Jest o tobie dobrego zdania, pozyskałeś jego względy dotychczasowymi postępkami i możesz się spodziewać jak najlepszego przyjęcia.

Dzięki don Manuelowi sprawa Ravenowa musiała być odłożona. Kurt pożegnał się i poszedł składać wizyty przełożonym. Ślubował sobie w duchu, że nikomu nie pozwoli szargać honoru swego i najbliższych, a temu Ravenowowi da po nosie przy najbliższej okazji.

Wsiadł do oczekującej go eleganckiej jednokonki. Choć nie jest w zwyczaju, by oficer niższej rangi meldował się u ministra wojny, pojechał prosto do niego. Był to wyraźny rozkaz ministra, a tym samym szczególne wyróżnienie Kurta.

Mimo że wielu interesantów czekało na audiencję, Kurt został przyjęty natychmiast. Minister potraktował go serdecznie, przez chwilę przyglądał mu się z uśmiechem i powiedział:

— Polecono mi pana i jestem gotów pomóc panu. Przeczytałem pańskie prace poświęcone wojskowym problemom wielu obcych państw i jestem pełen uznania. Tym bardziej, że jest pan tak młody. Sądzę, że pańskie talenty bardzo nam się przydadzą i dlatego postanowiłem zatrudnić pana w sztabie generalnym. Ale naprzód musi pan przejść chrzest w gwardii. Nie będę przed panem ukrywał, że obyczaj tam panujące są bardzo przestarzałe.

Proszę, abyś nie zważał na nie, o ile pozwoli na to twój oficerski honor. Zostanie pan przyjęty chłodno, a może nawet odtrącony. Aby to osłabić, napisałem parę słów do pułkownika. Oto ten list. Idź pan z Bogiem! Obym się rychło dowiedział, że znalazł pan swoje miejsce w środowisku oficerskim Berlina.

Początek był zachęcający, ale im dalej, tym gorzej. Generał dywizji kazał powiedzieć, że nie ma go w domu, chociaż Kurt widział go w oknie. Brygadier przyjął porucznika, lecz bardzo obcesowo.

— Nazywa się pan Unger? — zapytał.

— Tak jest, ekscelencjo.

— Nic więcej? Nie ma pan „von” przed nazwiskiem?

— Nie — odparł spokojnie Kurt.

— Nie mogę pojąć, jak można było skierować pana do gwardii!

— Widać pojmuje to jego ekscelencja pan minister wojny. Nie znam zresztą takiej rodziny szlacheckiej, której protoplasta miał przed nazwiskiem von. Jeśli nawet istotnie dzisiejsza szlachta

jest bardziej godna szacunku niż mieszczaństwo, to przynajmniej się pocieszam, że dorównuję protoplastom szlachty, i to mnie zupełnie zadowala.

Brygadierowi nikt jeszcze nie dał takiej nauczki. Zmrużył oczy i warknął:

— Co? Jak? Muszę to sobie zapamiętać! Jest pan wolny i może odejść!

Kurt ukłonił się i wyszedł. Teraz pojechał do pułkownika. Na przyjęcie czekał prawie godzinę, mimo że innych interesantów nie było. Wreszcie go wpuszczono. Pułkownik siedział przy pulpicie, odwrócony plecami do drzwi. Z boku pisał zaś przy biurku von Branden, adiutant. Obrzucił Kurta chłodnym spojrzeniem i nie przestał pisać.

Upłynęło kilka minut. Kurt zakasłał głośno i dopiero wtedy pułkownik odwrócił się powoli.

— Kto tu kaszle? A, to pan. Kim pan jest?

— Podporucznik Unger według rozkazu, panie pułkowniku.

Pułkownik podniósł się, nasadził monokl i ostrym wzrokiem mierzył podporucznika od stóp do głów. Nie mogąc widać nic zarzucić jego wyglądowi, powiedział wreszcie:

— A zatem stawiał się pan. Niech się pan zamelduje w adiutanturze. Musi pan wiedzieć, że w gwardii wymagania są wielkie. Czy zna pan panów oficerów?

— Nie.

— Hm! Czy będzie się pan stołował w kasynie? — Mieszkam i stołuję się u znajomych.

— Ach, tak. Hm! A więc doprawdy nie wiem, w jaki sposób zapoznać pana z panami oficerami.

Kurt zrozumiał, o co chodzi, ale odezwał się grzecznie:

— Zwykle panowie adiutanci przedstawiają nowych kolegów. Czyżby w gwardii inne panowały zwyczaje?

— Nie może pan chyba wymagać, aby w gwardii skupiającej kwiat szlachty, przyjmowano taki, łagodnie się wyrażając, mieszczański zwyczaj. Ten, kogo urodzenie stawia poza nawias towarzystwa, niełatwo może się tam wepchnąć.

— Wepchnąć? Pan pułkownik użył niewłaściwego wyrażenia.

Komendant zatrząsł się, mocniej nasadził monokl i zwrócił się do adiutanta:

— Mój drogi von Branden, czy będzie pan w tych dniach w kasynie?

— Wątpię — odpowiedział chłodnym tonem, nie podnosząc oczu.

— Słyszysz pan, panie podporuczniku? — ton głosu pułkownika był jeszcze chłodniejszy. — Będzie pan musiał w inny sposób szukać znajomości z panami oficerami.

— W takim razie czy mogę zapytać, kiedy mam się stawić na służbę?

Nie spodziewali się takiej reakcji. Adiutant zerwał się z krzesła, a pułkownik poczerwieniał ze złości. Opanował się jednak i rozkazał:

— Niech się pan zamelduje przed frontem jutro punktualnie o dziewiątej! Teraz może pan odejść.

Kurt wyciągnął list ministra i podał pułkownikowi.

— Wedle rozkazu, panie pułkowniku! A ten list polecił mi wręczyć panu jego ekscelencja pan minister wojny.

Złożył ukłon pożegnalny, odwrócił się i dzwoniąc ostrogami opuścił pokój. Pułkownik, trzymając list w ręku, spojrzał na adiutanta.

— Zarozumiały drab! — zauważył zgryźliwie von Branden.

— Nie pojmuję, jak mógł jego ekscelencja powierzyć mu służbowe pismo. A może to list prywatny?

Otworzył i przeczytał:

Panie pułkowniku!

Gorąco polecam tego młodego człowieka, który przekazuje panu list. Spodziewam się, że

koledzy zechcą uznać jego zdolności, które osobiście poznałem. Nie życzę sobie, aby mieszczańskie pochodzenie było przeszkodą w nawiązaniu przyjaznych stosunków z oficerami pułku.

Pułkownik stał z otwartymi ustami.

— Do licha! — zawołał. — To dopiero polecenie, i to pisane własnoręcznie przez ministra! Ale ja nie chcę obalać uświęconych tradycją obyczajów, poza tym ten Unger jest bezczelny. Na szczęście, władza ministra tak daleko nie sięga.

Kurt pojechał do majora. Właśnie rozmawiano tam o nim. Major miał gości: rotmistrza z żoną i swego krewnego młodego podporucznika. Młodzieniec opowiadał o zdarzeniach, których był świadkiem w kasynie: o zakładzie von Ravenowa, a także o przyjęciu do gwardii oficera-mieszczanina. Major i rotmistrz oburzyli się tak jak ich młodszy koledzy i postanowili przyłączyć się do bojkotu chudopachołka.

— Ale dlaczego — podporucznik kręcił głową — od razu taki ostry wyrok, w dodatku zaoczny? Chłopak jest wprawdzie mieszczaninem, ale może też być człowiekiem honoru. W każdym razie ja na jego miejscu czułbym się straszliwie dotknięty, niemal sprowokowany. Nie wiadomo, co z tego wyniknie.

— Jest pan zbyt miękki, mój drogi von Platen — powiedział major. — To przywara młodego wieku. Za lat dziesięć będzie pan inaczej o tym myślał. Wrona nie może bezkarnie wejść między sokoły i orły. Ten intruz ma mi dzisiaj złożyć wizytę, od razu więc niech pozna, co go czeka.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł adiutant, meldując podporucznika Ungera.

— Ach, lupus in fabula! — zawołał rotmistrz.

— Wejść! — rozkazał major, gładząc brodę.

Kurt wszedł. Zobaczywszy ponure miny obu wyższych oficerów i zmrużone pogardliwie oczy dam, nie miał żadnych złudzeń. Stał w postawie służbowej, czekając, aż doń przemówią.

— Kim pan jest? — zapytał major.

— Podporucznik Unger, panie majorze. Słyszałem, jak adiutant wymienił moje nazwisko.

Odparował pierwszy cios, ale major udał, że tego nie spostrzegł. Pytał dalej:

— Był pan u pułkownika?

— Tak jest.

— Otrzymał pan wskazówki?

— Tak jest.

— Nic więcej nie mam do dodania. Może pan odmaszerować!

Najmniejszym gestem nie zdradzał chęci podniesienia się z miejsca, tak samo rotmistrz. Tylko podporucznik von Platen wstał z krzesła i uklonił się grzecznie. Kurt nie dawał za wygraną. Zamiast skierować się do wyjścia, powiedział uprzejmym tonem:

— Widzę tu odznaki mego szwadronu, panie majorze, więc proszę, aby był pan łaskaw przedstawić mnie panom. Wówczas natychmiast odmaszeruję.

— Panowie słyszeli już pańskie nazwisko. Jest dość krótkie, aby go nie tak prędko zapomnieć. Pan rotmistrz von Codmer i pan podporucznik von Platen.

— Dziękuję. Teraz mogę odmaszerować, aczkolwiek wyrażenie to stosuje się do rekrutów, nie zaś do oficerów.

I wyszedł natychmiast. Rotmistrz wycedził:

— Bezczelny człowiek, na honor!

— Mnie prosić o prezentację szlachciców! — oburzał się major.

— Tałałajstwo! Mieszczańska hołota! Bez taktu i wychowania! Czego zresztą można się było spodziewać! — narzekały damy.

— Hm, zdaje się, że pan kolega ma ostry język — ośmielił się powiedzieć von Platen. — Ostrożnie trzeba sobie z nim poczynać. Nieźle się prezentuje. Jeśli równie dobrze posługuje się szablą jak językiem, wkrótce o nim usłyszymy.

— Nie ośmieli się! — zawołał major. — Damy mu do zrozumienia, że pojedynekowiczów zamyka się w twierdzy. Mam nadzieję, że pańskie dobre serce nie skłoni pana do nierozsądnych postępów, drogi Platenie.

— Moje dobre serce nie skłoni mnie do niczego, co byłoby niezgodne z moim honorem.

Von Platen czuł wyraźnie, że nie będzie wrogiem nowego kolegi. Swym zachowaniem zyskał on jego sympatię.

Kurt wrócił tymczasem do domu. Kiedy zwierzył się don Manuelowi z doznanych afrontów, hrabia wzruszył ramionami i powiedział łagodnie:

— Spodziewałem się tego. Gwardia w każdym kraju jest piekielnie dumna. Nie powinno cię to niepokoić, mój drogi chłopcze. Podczas twojej nieobecności dostałem kartkę od wielkiego księcia Hesji, który jest w Berlinie i...

— Wielki książę w Berlinie? — przerwał Kurt. — Dopiero przedwczoraj rozmawiałem z nim w Darmstademie!

— Wezwał go telegraficznie król pruski. Z tych kilku słów wnioskuję, że chodzi o dyplomatyczne, nader ważne sprawy. Być może, o stosunki obu krajów, które w ostatniej wojnie występowały przeciw sobie. A może i o ważniejsze rzeczy. Ten von Bismarck ma tęgą głowę i jest niezwykle wyrachowany. Widać obecność wielkiego księcia była pilnie pożądana. Przyjęto go jak wielce znaczącą osobę, więc wpływy jego wzrosną. Cieszy mnie to również ze względu na ciebie. Wielki książę prosił, abym go odwiedził. Skorzystam z tego i opowiem, jak ciebie, jego pupila, traktują tutaj. Jestem przekonany, że ci pomoże.

Hrabia umilkł, zaczął nasłuchiwać i podszedł do okna. Przed bramą stał powóz, ale nikt już w nim nie siedział. Po chwili rozległy się w korytarzu głosy i otworzyły się drzwi. Ukazała się w nich Roseta Sternau, z domu hrabianka de Rodriganda y Sevilla. Za nią stała piękna, choć już niemłoda dama.

— Moja droga córko! — zawołał z radością hrabia. — Co się stało, że tak szybko znów cię widzę?

Objęła go i pocałowała.

— Przyjechałam, aby ci. przedstawić nader miłego gościa, kochany ojcze. Spójrz i powiedz, kto to jest!

Hrabia popatrzył uważnie. Na pięknym obliczu kobiety, podobnie jak na twarzy Rosety, wyryte było cierpienie. Wydawała się hrabiemu znajoma, a jednak potrząsnął głową przecząco.

— Nie zmuszaj mnie, córko, abym odgadywał.

— No dobrze. Ta pani to miss Amy Dryden.

— Twoja przyjaciółka, która tak dawno nie dawała o sobie znaku życia? — upewnił się don Manuel.

— Ta sama.

Hrabia podszedł do Amy.

— Witam panią z całego serca! Od ostatniego naszego spotkania wydarzyło się tyle nieszczęść. Jakże się cieszyliśmy, kiedy otrzymaliśmy pół roku temu z Londynu pierwszy list pani ojca. Co za szkoda, że nie mógł wraz z panią przyjechać do Berlina. Mam nadzieję, że będziemy mieć przyjemność gościć panią u nas.

Amy uśmiechnęła się.

— Z radością przyjąłam zaproszenie Rosety na czas pobytu mego ojca w Meksyku. Z początku zamierzałam mu towarzyszyć, ale po owych smutnych doświadczeniach nie chciałam narazić na niebezpieczeństwo w tym półdzikim, pełnym niepokoju kraju.

— Lord słusznie postąpił, miss Amy. Pozwoli pani przestawić sobie mego młodego przyjaciela, podporucznika Kurta Ungera.

— Znam to nazwisko. Tak nazywał się kapitan, którego brat był znakomitym myśliwym.

— Ów kapitan jest moim ojcem — wtrącił Kurt.

— Ach, panie podporuczniku, mogę więc opowiedzieć panu o ojcu — ucieszyła się Angielka. — Niestety, znam jego dzieje tylko do chwili, kiedy opuścił hacjendę del Erina.

Usadowiono się wygodnie, aby posłuchać historii kapitana Ungera. Amy przekazywała im po kolei wszystko, czego dowiedziała się od Arbelleza. Mówiła właśnie o przeżyciach Piorunowego Grota w pieczarze królewskiego skarbcza.

— Muszę tu przerwać na chwilę, ale przypomniało mi się coś bardzo ważnego. Dowiedziałam się od Rosety, że nie otrzymał pan mego listu, który przesyłałam za pośrednictwem Juareza. A czy dotarła do pana przesyłka hacjendera?

— Przesyłka? Jaka przesyłka? — zdumiał się Kurt. — Nic nie otrzymałem.

Amy była przerażona.

— Pańskiemu stryjowi — wyjaśniła — Bawole Czoło podarował część skarbów, o których dopiero co opowiadałam, część wprowadzić małą, ale bądź co bądź stanowiącą wielki majątek. Postanowiono połowę tego majątku przekazać panu. W kilka lat po zniknięciu Sternaua hacjendero Arbellez pojechał do Meksyku i oddał skarb ówczesnemu najwyższemu sędziemu, Benito Juarezowi, z prośbą, by posłał go do Europy.

— Nic absolutnie nie dostałem — powtórzył Kurt. — Paczka albo zaginęła, albo trafiła pod fałszywy adres.

— Hacjendero nie znał pańskiego adresu, wiedział tylko, że przebywa pan na zamku w pobliżu Moguncji, że pański ojciec był kapitanem Ungerem i że w tym zamku mieszka niejaki kapitan von Rodenstein. Dlatego wysłano paczkę do pewnego banku mogunckiego, którego szef miał pana odszukać.

— Na pewno by mnie znalazł. W takim razie wszystko wskazuje na to, że przesyłka zaginęła po drodze.

— Juarez ubezpieczył ją.

— A więc zwrócono by mi jej równowartość. Należy się tylko dowiedzieć, jaki to był bank.

— Hacjendero wymienił nazwę firmy, ale, niestety, zapomniałam. Pantera Południa wziął mnie i ojca do niewoli i wyprawił do południowej części Meksyku w góry. Byliśmy uwięzieni, dopóki Juarez tam nie dotarł. Dopiero osiem miesięcy temu odzyskałam wolność. Wybacz mi pan chyba, że nie pamiętam tego, co mnie niewiele wówczas obchodziło.

— Och, miss Amy, nie mogę pani robić żadnych wyrzutów. Przeciwnie. Jestem pani wielce wdzięczny, że dowiedziałem się o tej sprawie. A co było w tej przesyłce?

— Aczkolwiek jej nie widziałam, wiem, że kosztowności: pierścienie, kolie, łańcuchy, nuggety, bransolety, wysadzone drogocennymi kamieniami, a wszystko pochodziło z zamierzchłych czasów.

— Jeśli więc odzyskam skarb, będę człowiekiem majątnym. Nie jesteśmy wprowadzić żadni bogactw, ale zasięgnę informacji w Moguncji. Zobowiązuje mnie do tego chociażby wzgląd na ojca i stryja. To przecież spuścizna po nich.

Amy kontynuowała opowieść. Była coraz ciekawsza, tak że słuchacze otoczyli ją kołem. Angielka stała w pobliżu okna. Opowiadała teraz to, co sama przeżyła — przygodę z korsarzem Landolą koło

Jamajki. Odruchowo spojrzała na ulicę. Krzyknęła z przestrachu i szybko cofnęła się od okna.

— Co cię tak przeraziło? — zaniepokoiła się Roseta.

— Mój Boże, czy dobrze widzę? — Amy wskazała na mężczyznę, który w zwykłym cywilnym ubraniu szedł po przeciwległym trotuarze z twarzą zwróconą ku hrabiowskiej willi.

To był kapitan Shaw. Nie zdradził się przed oficerami wrażeniem, jakie wywarło na nim nazwisko Sternau, ale postanowił zasięgnąć języka.

— Mówisz o tym przechodniu? — upewniła się Roseta, idąc za spojrzeniem przyjaciółki.

— Tak, o tym.

— Czy go znasz?

— Czy go znam?! Tego człowieka?! Widziałam tę twarz w chwili, której nigdy nie zapomnę!

— Kto to?

— Landola, korsarz!

— Kapitan „La Pendoli”?! — wykrzyknęła Roseta.

— Kapitan Grandeprise? — wtórował córce hrabia. — Czy na pewno pani się nie myli?

— Na pewno nie!

Kurt nie odzywał się. Podszedł do okna i przyglądał się mężczyźnie. Inni zrobili to samo.

— Ten łotr obserwuje nasz dom — zauważył hrabia.

— Wie zapewne, że pan tu mieszka — dodała Amy.

— Sprawca naszych nieszczęść planuje nowe zbrodnie! — biadała Roseta.

— Wszedł do gospody! — zauważył Kurt. — Na pewno chce się dowiedzieć czegoś o nas. A więc dowie się, a jakże!

Wybiegł z pokoju, aby się przebrać w cywilne ubranie. Po kilku minutach wchodził do knajpy z ponurą miną.

Kapitan Shaw był jedynym gościem, podobnie jak poprzednio podporucznik von Ravenow. Widział, jak Kurt wypadł z willi hrabiego. Gdy więc młodzieniec usiadł przy innym stoliku, zwrócił się do niego:

— Proszę pana, czy nie zechciałby pan przyłączyć się do mnie? Przy szklance piwa człowiek tęskni do towarzystwa.

— Jestem tego samego zdania, mój panie, i przyjmuję pańskie zaproszenie — odpowiedział Kurt.

Kapitan przyglądał mu się badawczo.

— Sądzę, że każde towarzystwo lepiej panu zrobi niż samotność. Jest pan czymś zmartwiony. Czy mam rację?

— Hm, może to i prawda — mruknął Kurt, zamawiając szklankę piwa. — Wielcy panowie niewiele sobie z tego robią, czy nas wprawiają w zły czy dobry humor.

— A więc słusznie przypuszczałem. Był pan w tym wielkim domu? Zapewne szukał pan posady?

— Być może.

— Kto tam właściwie mieszka?

— Hrabia de Rodriganda.

— Wszak to hiszpańskie nazwisko?

— Tak, to Hiszpan.

— Bogaty?

— Bardzo.

— A więc zna pan dobrze jego sytuację finansową.

— Czy sądzi pan, że hrabia opowiada o swoich koneksjach takiemu, co go prosi o posadę?

— Kim pan jest?

Kurt skrzywił się i odpowiedział wymijająco:

— To nie ma nic do rzeczy! Wygląda pan także na wielkiego pana, więc niech pana głowa nie boli o to, kim jestem.

Oczy kapitana rozbłysły zadowoleniem.

— Usadził mnie pan. To mi się podoba. Lubię takich twardych ludzi, gdyż można na nich polegać. Czy bywał pan często w tej willi?

— Nie — tym razem Kurt nie rozmijał się z prawdą.

— Czy zamierza pan wrócić tam?

— Tak, nawet muszę.

Kapitan przysunął się do Kurta i zapytał cichym głosem:

— Posłuchaj, młody człowieku, podobasz mi się. Czy jest pan majątny?

— Nie.

— Czy chce pan dobrze zarobić?

— Hm! W jakiż to sposób?

— Interesuje mnie hrabia, a że pan wróci do jego domu, mógłby się pan wywiedzieć tego i owego. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pan przyjął moją propozycję.

— Zastanowię się — rzekł Kurt po namyśle.

— Doskonale! Widzę, że nie jest pan w gorącej wodzie kąpany, a to zwiększa moje zaufanie do pana. — Zlustrowawszy ubiór Kurta, dodał: — Mógłby pan zarobić u mnie niezgorszą sumkę. A kiedy przekona się pan, że nie jestem sknerą, może będzie pan bardziej szczerzy wobec mnie. Jestem tutaj obcy i potrzebuję człowieka, na którym mógłbym polegać.

Kurt milczał. Kapitan jeszcze raz przyjrzał mu się uważnie. Wydało mu się, że ten niedoświadczony młodzieniec o szczerzej, otwartej twarzy i rozumnych oczach będzie posłusznym narzędziem w jego rękach.

— Nie nalegam — powiedział po chwili — aby wyjawiał pan, kim jest. Ale czy mogę przynajmniej wiedzieć, czym zajmuje się pański ojciec?

— Jest marynarzem.

— A zatem nie zaliczacie się do wielkich panów. Szuka pan posady?

— Przyrzeczono mi ją, ale teraz robią trudności.

— Gwiżdż sobie pan na nich! O ile tylko stwierdzę, że może mi się pan przydać, dam panu z pewnością lepsze warunki.

— A czym musiałbym się wykazać?

— Choć odrobiną przebiegłości. Kurt mrugnął porozumiewawczo.

— O, tej mi nie brak. A więc przyjmuję pańską propozycję. A kiedy dowiodę panu, że mogę się przydać, wyjawię moje nazwisko. Ja tu nie wszędzie, proszę pana, jestem dobrze notowany, dlatego wolę zachować daleko idącą ostrożność.

Kapitan był wyraźnie uradowany. Tym łatwiej uczynię cię posłusznym chłopaczkiem — pomyślał — powolnym instrumentem w moich rękach. A głośno powiedział:

— To mi na razie wystarczy. Dam panu mały zadatek na poczet usług, które mi wyświadczysz. — Wyciągnął woreczek z pieniędzmi. — Oto pięć talarów.

Kurt jednak odsunął monetę.

— Nie jestem aż tak biedny, abym potrzebował zadatku, mój panie. Najpierw robota, a potem zapłata. Co mam robić?

— Jak pan sobie życzy. Ja także zresztą nie lubię zaliczek. A więc do rzeczy. Interesują mnie stosunki panujące w domu hrabiego, członkowie jego rodziny i zajęcia, jakim się oddają. Przede

wszystkim zaś chciałbym wiedzieć, kto to jest Sternau i czy mieszka tam ktoś nazwiskiem Unger.

— Nietrudno będzie zdobyć te informacje.

— Mam nadzieję. Potem zamierzam wysłać pana do Moguncji, aby wybadał pan pewnego nadleśniczego. Czyba pan sprostą tym zadaniom?

— Aha, to pan z policji?

— Być może — kapitan zrobił tajemniczą minę. — Ale poza tym zajmuję się wielką polityką. Chcę panu coś zawierzyć. Mam nadzieję, że mogę mówić otwarcie.

— Niech pan tak opowiada, aby się nie narażać na niebezpieczeństwa — roześmiał się Kurt.

— Hm, widzę, że z pana kawał spryciarza! To mi się podoba! Posłuchaj, pan! Prusy pokonały Austrię i ta szuka teraz sojuszników, aby się im zrewanżować. Wydawało jej się, że takiego sojusznika znalazła we Francji. Napoleon III podarował arcyksięciu Maksymilianowi cesarstwo Meksyku. Ale czy ta przyjaźń będzie trwała? Anglia i Ameryka Północna nie chcą uznać Maksymiliana i zmuszają Napoleona, aby wycofał swoje wojska z Meksyku. Arcyksiążę jest zdany na własne siły. Na pomoc swego kraju, osłabionego przecież wojną z Prusami, nie może liczyć. Meksyk straci zatem Maksymiliana z tronu. Wskutek tego w polityce wszechświatowej powstaną komplikacje. Każde państwo będzie chciało wyciągnąć korzyści dla siebie. Otóż tu, w Berlinie, na dworze zwycięzcy, wielu tajnych emisariuszy bada grunt, aby ich rządy nie przegapiły odpowiedniego momentu.

— I pan jest jednym z tych wysłańców?

— Tak.

— Z ramienia jakiego państwa?

— To na razie tajemnica. I tak dużo panu powiedziałem. A to po to, by uwierzył pan, że potrafię mu zapewnić świetną przyszłość. Oczywiście, jeśli będzie mi pan wierny. Pańskie pierwsze zadanie, powtarzam, to dowiedzieć się wszystkiego, co dotyczy hrabiego Rodrigandy.

— A kiedy wykonam zadanie, gdzie i w jaki sposób mam zawiadomić pana o tym?

— Przedstawię się więc panu. Nazywam się kapitan Shaw i mieszkam w „Magdeburским Dworze”. Gdy będziesz coś wiedział, przyjdź do tej gospody.

— Być może nastąpi to bardzo szybko.

— Oby tak się stało. Sądzę, że nasza znajomość będzie korzystna dla obu stron. Na wypadek, gdyby miał pan coś dla mnie jeszcze dzisiaj, proszę pamiętać, że będę w gospodzie za dwie godziny. Do widzenia!

Dopiwszy piwo, Shaw wyszedł, a Kurt został sam. Postanowił czym prędzej wykorzystać te dwie godziny i rozejrzeć się w „Magdeburским Dworze”. Chodziło już przecież nie tylko o prywatne, ale i o polityczne sprawy.

EMISARIUSZE

Kurt zapytał gospodarza o drogę do „Magdeburckiego Dworu”, zapłacił i wyszedł. Po kilkunastu minutach był już w gospodzie. Kiedy zamawiał piwo, zdziwiła go radosna mina, z jaką patrzyła na niego kelnerka. Spojrzał pytająco na jej ładną buzię.

— Czy nie poznaje mnie pan, panie podporuczniku? Zastanowił się i po chwili rzeczywiście przypomniał ją sobie.

— Do pioruna! Przecież pani jest Bertą Uhlmann z Bodenheim!

— Tak, to ja. Często bywałam w Reinswalden i widziałam pana wiele razy.

— Ale to było dawno i dlatego nie poznałem w pani tamtej dziewczynki. Skądże się pani wzięła w Berlinie?

— W domu jest nas dużo, mam kilka sióstr i ojciec kazał mi iść na służbę. Przyjechałam tutaj, ponieważ gospodarz jest moim dalekim krewnym.

— Dla mnie to szczęśliwy zbieg okoliczności. Chciałbym prosić panią o przysługę.

— Jeśli będę mogła pomóc, zrobię to z miłą chęcią.

— Przede wszystkim proszę, aby nikomu pani nie mówiła, że jestem oficerem. Czy mieszka u was kapitan Shaw?

— Tak, od niedawna, pod numerem jedenastym.

— Z kim się tu spotyka?

— Prawie z nikim. Często wychodzi na miasto. Raz tylko odwiedził go jakiś mężczyzna, ale go nie zastał.

— Kto to był?

— Nie wymienił nazwiska. Powiedział, że wkrótce przyjdzie znowu.

— Czy z jego wyglądu nie wywnioskowała pani, kim on jest?

— Wydawał mi się oficerem w cywilu. Twarz miał opaloną i mówił po niemiecku jak Francuz.

— Hm... A więc kapitan mieszka pod numerem jedenastym. Czy dwunasty jest zajęty?

— Tak. I znajduje się w innym korytarzu. Jedenastka to pokój narożny.

— A co z dziesiątką?

— Pusta.

— Czy te pokoje dzieli gruba ściana?

— Nie. Są w dodatku połączone drzwiami, tyle że zawsze zamkniętymi.

— To w dziesiątce słychać, co mówi się w jedenastce?

— Owszem. Jeśli się nie szepcze — i z chytrym uśmiechem dodała: — Interesuje pana ten Shaw?

— Tak, ale nikt nie może o tym wiedzieć.

— O, umiem dochować tajemnicy! Zresztą ten człowiek bardzo mi się nie podoba, a pan jest moim ziomkiem.

— Czy mogę obejrzeć numer dziesiąty?

— Rozumie się.

— Ale tak, aby nikt nie zauważył?

— Niech się pan o to nie kłopotuje. Nikogo ze służby tam nie ma. Przyniosę klucz i wejdzie pan po prostu na górę. To przedostatni pokój.

Odeszła, by wkrótce powrócić i ukradkiem wręczyć mu klucz. Szybko wszedł na piętro. Po drodze nie spotkał nikogo.

Otworzył drzwi dziesiątki i znalazł się w sypialni, w której stało łóżko, szafa, umywalka, stół, kanapa i dwa krzesła. Drzwi do sąsiedniego pokoju były, jak mówiła Berta, zamknięte. Otworzył

szafę — była pusta. Otwierała się bez szmeru.

Wrócił na dół, również nie spotkawszy nikogo. Kelnerka podeszła do niego, aby odebrać klucz, i zapytała:

— Znalazł pan?

— Tak.

— Zdaje się, że pan chce podsłuchiwać kapitana?

— Zgadła pani! Czy Shaw oddaje klucz, kiedy wychodzi z gospody?

— Nie. Zawsze zabiera go z sobą, a podczas sprzątanía nie opuszcza pokoju. Jakby nie wiedział, że każdy gospodarz ma drugi komplet kluczy!

— Widać strzeże jakichś tajemnic. Czy wpuści mnie pani do dziesiątki, gdy Shaw będzie miał gościa?

— Wpuszczę. Ale zapomniałam panu powiedzieć, że zastrzegł sobie, aby pokój obok był pusty, a w dodatku zapłacił za niego.

— To już prawie dowód, że ukrywa coś, o czym bardzo chciałbym wiedzieć... Ale kto to, panienko?

Pytanie dotyczyło mężczyzny, który wchodził do gospody.

— To właśnie ten człowiek, który był już tutaj i zapowiedział swój powrót. Pan go zna?

— Podobieństwa są nieraz zawodne — odpowiedział wymijająco.

Gość zasiadł przy stole i przeglądał kartę win. Kiedy podeszła kelnerka, zapytał, czy kapitan Shaw już wrócił. Otrzymał odpowiedź przeczącą, poprosił o butelkę bordo.

To chyba on! — myślał Kurt. W ten sposób tylko Francuzi piją wino. Ale czego szuka w Berlinie generał Douai? A może istotnie planowane są jakieś polityczne intrygi w tajemnicy przed rządem pruskim? Koniecznie muszę podsłuchać ich rozmowę!

Skinął na Bertę. Udając, że wyciera stoliki, podeszła do niego.

— Muszę natychmiast iść na górę — szepnęła. — Kapitan zapewne nadejdzie lada chwila. Przypuszczam, że to będzie bardzo ważna rozmowa i kapitan zechce sprawdzić, czy nikogo nie ma w sąsiednim pokoju. A jeśli zażąda klucza, musi mu go pani dać.

— W takim razie zamknę pana w dziesiątce. Ale jeśli zajrzy do środka?

— Schowam się w szafie i wyjmę klucz z drzwi.

— Co jednak będzie, jeśli je otworzy?

— To już nie wiem... Ale może znajdzie się rada. Potrzebny mi tylko świder.

— Zobaczę. Służący ma skrzynkę z narzędziami.

— Niech więc pani go poszuka. Będę obserwował drzwi do sieni. Gdy tylko pani w nich się pojawi, wyjdę stąd.

Po kilku minutach Berta wróciła. Kurt zapłacił należność i podniósł się z krzesła.

Przy schodach spotkał dziewczynę. Zaprowadziła go do pokoju, wręczyła świder i zamknęła za nim drzwi. Umówili si zec, że przyjdzie po niego dopiero wtedy, gdy kapitan i jego gość opuszczą gospodę.

Kurt otworzył szafę, wyciągnął i schował klucz. Następnie usiadł w środku i wkręcił świder głęboko w drzwi. Dzięki temu miał rękojęść, za którą mógł tak je przytrzymywać, jak gdyby były zamknięte na klucz.

Szafa była dość głęboka i szeroka. Siedział więc wygodnie i czekał na pomyślny bieg wypadków.

Sporo czasu upłynęło, nim rozległy się kroki dwóch osób. W drzwi numeru dziesiątego wetknięto klucz i otworzono je.

— Tu pan mieszka? — zapytał ktoś po francusku.

— Nie — był to głos kapitana. — Mieszkam obok, ale wynająłem także ten pokój, aby mieć pewność, że nikt mnie nie będzie podsłuchiwał. Zajrzę więc, by przekonać się, czy nikogo tu nie ma. Wzmrożona czujność czy przezorność nigdy nie zaszkodzi.

Wszedł do pokoju i przez chwilę lustrował go w milczeniu. Wreszcie zbliżył się do szafy.

— Zamknięta — stwierdził — i klucza nie ma.

Kurt starał się nawet nie oddychać i mocno trzymał świder.

— Wszystko w porządku. Chodźmy!

Kurt słyszał, jak weszli do pokoju obok. Kiedy z hałasem przestawiali krzesła, wyszedł z szafy. Przy drzwiach dzielących go od jedenastki, bez najmniejszego szmeru postawił krzesło, usiadł i słuchał.

— Nie mam wiele czasu — powiedział kapitan — oczekują mnie już gdzie indziej. Nikomu tu do głowy nie przychodzi, że pracuję na rzecz Hiszpanii. Uważają mnie za Amerykanina, posła Stanów Zjednoczonych. A uszy mam otwarte... Otrzymałem pańskie doniesienie i oczekiwałem pana dzisiaj...

— Go pan sobie wyobraża! — przerwał Francuz opryskliwym tonem. — Już raz byłem tutaj, a dzisiaj czekałem na pana całą godzinę.

— Ważne sprawy, ekscelencjo — usiłował usprawiedliwić się kapitan.

— Czekać na mnie to najważniejsza sprawa dla pana! Wie pan, że nikt nie może mnie tu poznać. Pańskim obowiązkiem było zapobiec sytuacji, w jakiej znalazłem się, siedząc tak długo w gospodzie. Znają mnie, ktoś mógłby mnie zobaczyć, rozpoznać i wypaplać, że generał Douai przebywa w Berlinie. Wiadomo powszechnie, że walczyłem w Meksyku i że odwołał mnie cesarz francuski, powierzając stanowisko dyplomaty. Wiadomo także, że brat mój jest wychowawcą następcy tronu i że powierza mi się tylko zadania wagi państwowej. Jeśli mnie poznają, misja moja nie powiedzie się. Mam pertraktować z panem, z Rosją, z Austrią i Włochami. Jego ekscelencja minister spraw zagranicznych polecił mi przekazać notatkę, w której znajdzie pan wskazówki, jak należy dalej postępować zgodnie z układem zawartym między nami a rządem madryckim. Oto pismo. Niech pan łaskawie przeczyta i powie, jeśli coś mu się wyda niejasne.

— Dziękuję, ekscelencjo.

Przez chwilę Kurt słyszał tylko szelest kartek papieru. Następnie kapitan oznajmił:

— Wszystko jest całkowicie jasne.

— Streśćmy więc główne punkty pisma. Cesarz Napoleon wysunął tego słabego Maksymiliana na tron meksykański, a Stany Zjednoczone żądają teraz, by Francja wycofała swe wojska z Meksyku i nie przejmowała się losem Maksa.

— Hiszpania przyłącza się do tego żądania.

— Bo uważa się za jedyne prawowitego władcę tego pięknego i, dodajmy, zaniedbanego przez nią kraju. Mój cesarz gotów jest uczynić zadość żądaniom Hiszpanii, o ile ta spełni jego życzenie, to znaczy, zachowa neutralność na wypadek wojny Francji z Niemcami. Idę teraz do posła rosyjskiego. Będzie mi pan towarzyszył, aby zaświadczyć, że Francja nie ma powodu lękać się Hiszpanii.

— Jestem do pańskiej dyspozycji. Schowam tylko ten dokument.

Zadzwoił kluczem.

— Czy pański kuferek to pewny schowek?

— Oczywiście. Zresztą, zabieram ze sobą klucz od pokoju.

— Więc chodźmy!

Wyszli i Kurt usłyszał, jak zgrzytnął klucz w zamku. Był podniecony. Dowiedział się o tajnych intrygach przeciw Prusom! Jakąż niezwykłą wartość ma ten dokument! Musi go koniecznie dostać w swoje ręce. Ale jak to zrobić?

Gdy się nad tym głowił, otworzono drzwi i weszła kelnerka.

— Obu już nie ma w gospodzie — powiedziała. — Czy słyszał pan ich rozmowę?

— Tak. A teraz chciałbym wejść do pokoju kapitana...

— Musiałabym przynieść drugi klucz. Tylko co będzie, jak Shaw nas przyłapie?

— Proszę się nie obawiać. Nieprędko wróci.

— Więc niech pan poczeka. Niebawem wróciła.

— Nie wiem, czego pan tam szuka, panie podporuczniku, ale nie mam czasu towarzyszyć panu.

Przyszło wielu gości i muszę ich obsłużyć. Oto klucz.

— Jak go pani oddam? Nie będę mógł wrócić na dół.

— Niech pan położy pod dywanem przed drzwiami. Przyjdę później i go zabiorę.

Kiedy zeszła na dół. Kurt otworzył pokój kapitana i zamknął drzwi za sobą. Od razu zobaczył wielki kufer, a na nim mały kuferek, bardzo podobny do tego, jaki sam miał. Zaświtała mu myśl: przecież zamki do takich kuferków fabrykuje się masowo! Sięgnął do kieszonki, w której nosił klucz od swojego. Włożył do zamka... Pasował, jak ulał!

W kufereku było pełno różnych papierów. Na samym zaś wierzchu leżał wąski zeszyt. Drżącymi z wrażenia rękami Kurt odwrócił pierwszą kartkę. To było to, czego szukał. Wiarygodność dokumentu potwierdzała pieczęć ministra spraw zagranicznych Francji. Przez moment zastanawiał się: czy zabrać oryginał, czy tylko sporządzić odpis? Co z tego — zdecydował — że kapitan natychmiast dostrzeże stratę? Muszę wziąć oryginał.

Zamknął kuferek i wyszedł z pokoju. Klucz schował pod dywanem wraz z kilkoma banknotami dla kelnerki, po czym niepostrzeżenie opuścił gospodę.

Dorożką pojechał wprost do Bismarcka. Okazało się jednak, że kanclerz jest u króla. Kurt bezzwłocznie udał się do zamku. Zameldował się u adiutanta, ale ten nie chciał go wpuścić tłumacząc, że to nie czas audiencji.

— Mimo wszystko, panie pułkowniku — nalegał Kurt — proszę o zaanonsowanie mnie.

— Ależ nie jest pan w mundurze, podporuczniku!

— Nie miałem czasu się przebrać.

— To żadne tłumaczenie! Jego królewska mość zawsze nosi uniform. Mogę dostać naganę, jeśli zamelduję pana w tym stroju. Zresztą, jego ekscelencja hrabia von Bismarck jest u jego królewskiej mości.

— To się dobrze składa, bo właśnie szukałem ekscelencji. Mogę panu tylko tyle powiedzieć, że chodzi o bardzo ważną, nie cierpiącą zwłoki sprawę.

— Chce ją pan zakomunikować hrabiemu von Bismarckowi w obecności króla?

— Tak.

— No, w takim razie jestem zmuszony zameldować pana. Ale, młody człowieku, ostrzegam, że zwiczniesz swoją karierę, jeśli sprawa nie jest tak ważna, jak ci się wydaje.

— Jestem gotów ponieść wszystkie konsekwencje mojego czynu — powiedział Kurt grzecznym, ale stanowczym tonem.

Adiutant znikł w królewskich apartamentach. Po chwili wrócił i kazał Kurtowi iść za sobą.

Kiedy znaleźli się w gabinecie monarchy, podporucznik uklonił się z uszanowaniem i zgodnie z regulaminem wojskowym milczał. „Żelazny” kanclerz mierzył go od stóp do głów ostrym, pełnym zdziwienia spojrzeniem. Z nie mniejszym zdumieniem spoglądał na niego król. Po chwili powiedział:

— Zameldowano mi podporucznika Ungera.

— To ja, wasza królewska mość.

— Z jakiego oddziału?

— Do niedawna w służbie jego wysokości wielkiego księcia Hesji, teraz zaś w gwardii huzarów waszej królewskiej mości.

— Minister wojny mówił mi o panu. Gorąco pana poleca, jednakże w pewnych kołach uważają wstąpienie pana do gwardii za czyn nader śmiały.

— Odczułem to, wasza królewska mość. Lekki uśmiech przemknął po twarzy króla.

— A więc złożył pan już wizyty?

— Spełniłem swój obowiązek.

— Mam nadzieję, że będzie go pan nadal spełniał. Ale dlaczego jest pan w tak niestosownym, szczególnie tutaj, ubraniu?

— Oto, wasza królewska mość, moje usprawiedliwienie.

Wyjął z kieszeni tajny dokument i z pełnym uszanowania ukłonem wręczył królowi. Monarcha podszedł do okna, czytał i czytał, wreszcie skończył i podał pismo von Bismarckowi:

— Czytaj, pan, ekscelencjo! Podporucznik istotnie przyniósł nam bardzo ważną wiadomość.

Przez cały ten czas Bismarck stał, jakby kij połknął, i nie patrzył na Ungera. Wziął dokument i przejrzał. Jego kamienna twarz nie zdradzała żadnych uczuć, raczył tylko uważnie spojrzeć na Kurta.

— Panie podporuczniku, jak pan to zdobył?

— Podstępem, oczywiście, ekscelencjo. Po prostu ukradłem.

Minister się uśmiechnął.

— Co pan nazywa kradzieżą?

— Przywłaszczenie cudzej własności.

— W takim razie oczyszczę pana z winy. To przywłaszczenie jest w pełni usprawiedliwione. Kto był posiadaczem tego dokumentu?

— Generał Douai dał go człowiekowi, który uchodzi za Amerykanina, a w rzeczywistości jest szpiegiem Hiszpanii.

— Gdzie przebywa?

— Tu, w Berlinie, w gospodzie zwanej „Magdeburskim Dworem”. Jeżeli wasza królewska mość i ekscelencja pozwolą, opowiem wszystko po kolei.

— Prosimy — zachęcił król.

Kiedy Kurt skończył mówić, król podszedł do niego, uściśnął mu dłoń i powiedział:

— Wyświadczył mi pan wielką przysługę, podporuczniku. Dziękuję panu. Słusznie pan zrobił, zabierając oryginał. Cieszy mnie, że służy pan w mojej gwardii. I nie zapomnę o panu. A teraz żegnam pana... Muszę wydać rozkaz aresztowania Douaiego i Shawa.

Ponownie wyciągnął rękę do Kurta, a ten ją ucałował. Także von Bismarck podszedł do Ungera i uściśnął mu dłoń ze słowami:

— Podporuczniku! Lubię ludzi roztropnych i jednocześnie zdecydowanych na wszystko. Rozumie się samo przez się, że musi pan zachować pełną dyskrecję. Nikt nie powinien się dowiedzieć, co pana sprowadziło do jego królewskiej mości. Na pewno jeszcze nieraz się zobaczymy. A teraz idź z Bogiem!

Kurt wyszedł. Nigdy jeszcze nie był tak szczęśliwy! Tyle serdecznych słów usłyszeć od króla i „żelaznego” kanclerza! Co go teraz obchodzą przeciwnicy, począwszy od generała, a skończywszy na najmłodszym podporuczniku. Szedł przed siebie zatopiony w rozmyślaniach, aż wreszcie spostrzegł, że idzie w złym kierunku. Wsiadł do dorożki i pojechał do domu.

Wszyscy siedzieli w salonie i oczekiwali go z niecierpliwością. Posypały się życzliwe wymówki.

— Co robiłeś tak długo?

— Sądziłiśmy, że wyjdiesz z szynku, a tymczasem przyjechałeś dorożką!

— Gdzie właściwie byłeś?

— Nie odgadnicie! W tym stroju, a wiejski nauczyciel lepiej się ubiera, byłem... u króla!

— Niemożliwe!

— U króla i u Bismarcka!

— Żartujesz! — zachnął się don Manuel. Różyczka spojrzała w rozjaśnione oczy towarzysza zabaw dziecięcych. Znała go dobrze.

— On nie żartuje! — zawołała. — Naprawdę był u króla!

— Niech jeszcze raz to usłyszę z ust Kurta! — poprosiła jej matka.

— Byłem u króla — powtórzył z poważną miną.

— Mój Boże, w tym ubraniu! — zmartwił się hrabia. — Ale po co? Dlaczego? I jak do tego doszło?

— Nie mogę powiedzieć. Przynależem całkowitą dyskrecję i dlatego proszę, abyście nikomu o tym nie mówili. Dodam tylko, żeby was uspokoić, że pożegnano mnie serdecznie. Udało mi się bowiem wyświadczyć królowi pewną przysługę.

— To cudowne! — cieszyła się Różyczka. Jej radość tak wzruszyła Kurta, że dodał:

— Na audyencji wiele opowiadałem o Hiszpanii, o tragediach i troskach rodu Rodrigandów. Możemy mieć nadzieję, że dzięki królewskiej opiece rozwiążemy wszystkie nasze problemy.

— Oby Bóg dał! — na smutnej twarzy Rosety Sternau pojawił się uśmiech. — Ale poszedłeś przecież do gospody, aby wy badać tego Landolę. Co się z nim stało?

— Właśnie teraz go aresztują.

Kurt mylił się jednak. Podczas gdy rozmawiał z bliskimi w willi hrabiego, Landola vel Shaw wrócił do gospody po spotkaniu z posłem rosyjskim. Wszedłszy do pokoju.

prawie natychmiast otworzył kuferek, aby jeszcze raz przeczytać dokument i to dokładniej, niż to zrobił w obecności generała Douaiego. Z wrażenia aż się cofnął — wąskiego zeszytu nie było. Trzęsącymi się rękami zaczął przerzucać wszystkie papiery. Szukał w pokoju, nawet pod łóżkiem i kanapą, choć dobrze pamiętał, że zeszyt zamknął w kufrze. Wszystko na próżno. Zadzwonił. Zjawiała się kelnerka. Już wcześniej zabrała spod dywanu zapasowy klucz i pieniądze.

— Czy był tu ktoś podczas mojej nieobecności? — zapytał.

— Nie, nikt nie pytał o pana.

— Pytam, czy był ktoś w moim pokoju.

— Ależ skąd!

— A jednak musiał tu ktoś być!

— Jak to możliwe? Przecież zamyka pan pokój na klucz.

— Macie chyba drugi klucz! Ależ jestem głupiec, że nie pomyślałem o tym! Zostałem okradziony, haniebnie okradziony!

Zbladła ze strachu i przejęcia. Czyżby Unger okazał się złodziejem?!

— Złękła się pani, zbladła! — wrzeszczał kapitan. — To pani ukradła! Powiedz, gdzie ukryłaś dokument! Muszę go odzyskać, natychmiast, natychmiast!

Dziewczyna odetchnęła. Chodzi więc o dokument, nie zaś o kradzież w zwykłym znaczeniu tego słowa. Jeśli podporucznik go zabrał, to był zapewne uprawniony do tego.

— Ja?! — krzyknęła. — Co panu strzeliło do głowy?! Gdzie pan to miał?

— Tu, w tym kufierku!

— Czy nie był zamknięty na klucz?

— Był.

— I wmawia mi pan, że uczciwa dziewczyna otworzyła zamek?! Skąd wzięłabym klucz?

— Mogła pani posłużyć się wytrychem.

— Niech pan nie będzie śmieszny, kapitanie! Kelnerka miałaby wytrych? Idę do gospodarza i powiem mu, że mnie, jego krewną, nazwano złodziejką!

— Niech pani biegnie po niego. I to natychmiast! Muszę odnaleźć dokument!

Kiedy wyszła, Landola usiadł na kanapie, ale zaraz się zerwał i w najwyższym podnieceniu miotał się po pokoju.

W sieni Berta spotkała kilku mężczyzn ubranych po cywilnemu. Spojrzawszy zaś przez okno, zobaczyła w bramie policjantów. Jeden z cywilów zapytał:

— Czy pani jest tutaj kelnerką?

— Tak.

— Gdzie jest gospodarz?

— W kuchni.

— Proszę zaprowadzić mnie do niego. Gospodarz, usłyszawszy kroki, stanął w progu. Mężczyzna zwrócił się do niego:

— Czy u pana mieszka cudzoziemiec, podający się za kapitana Shawa?

— Tak, panie.

— Jestem urzędnikiem policji. Czy kapitan jest w gospodzie?

— Dopiero co wrócił. Znajdzie go pan na piętrze w pokoju jedenastym.

Urzędnik wspiął się po schodach. Obaj jego towarzysze zostali na dole, policjanci zaś weszli do sieni. Zapukał do drzwi i wszedł na zaproszenie.

— Wreszcie! — zawołał kapitan. — Jest pan gospodarzem?

— Nie, panie kapitanie.

— A kim w takim razie?

— Funkcjonariuszem tutejszej policji. Kapitan zląkł się, ale opanował szybko.

— Jestem bardzo rad, mój panie. Właśnie okradziono mnie.

— Okradziono? — urzędnik się uśmiechnął. — Co panu zginęło?

— Bardzo ważny dokument.

— Jeśli o to idzie, to nie został on skradziony, ale skonfiskowany.

Shaw cofnął się o krok jak rażony piorunem.

— Skonfiskowany? — wyjąkał. — Przez kogo?

— To nieważne.

— Ale kto miał prawo potajemnie grzebać w moich rzeczach?

— Każdy obywatel, który pragnie uchronić ojczyznę przed zdradą. Kapitanie Shaw, czy jak się tam pan nazywa, pójdzie pan ze mną. Jest pan aresztowany.

Landola odzyskał zimną krew. Wiedział, że jeśli go zaaresztują, zginie na pewno. Musiał uciec. Ale jak? Sień była obstawiona... Ulica jednak chyba wolna... A więc przez okno to jedyna droga ratunku! Ten policjant ma chyba przy sobie broń. Trzeba go zaskoczyć.

Podniósł kuferek, otworzył go i zbliżył się do urzędnika.

— Panie komisarzu — wykrzyknął — to jakaś pomyłka! Zajrzyj, pan, do tego kufierka. Listy polecające i świadectwa dowiodą panu...

Gdy urzędnik pochylił głowę, błyskawicznie rzucił kuferek na podłogę i obiema rękami chwycił przeciwnika za szyję, i zaczął dusić. Twarz komisarza zsiniała, rękami chciał odepchnąć napastnika, ale wkrótce jego członki zwiotczały i nieprzytomny osunął się na ziemię.

— Chyba uda mi się ujść z życiem! — mruczał Landola. — Co znaczy taki szcur łądowy wobec

kapitana Grandepriše'a!

Zamknął kuferek i podszedł z nim do okna. Otworzył je i ostrożnie się rozejrzył. Na pustym trotuarze nie było nikogo. Tylko jakaś dorożka zatrzymała się przed sąsiednim domem. Kiedy jej pasażer wysiadł i zniknął w bramie, Shaw wgramolił się na parapet. Jeden sus i stał już na trotuarze. Wciąż trzymając pod pachą kuferek, podbiegł do ruszającej właśnie dorożki i rozkazał: — Na Friedrtchstrasse.

Aby zatrzeć ślady, wysiadł na wymienionej ulicy i ruszył pieszo. Przez jakiś czas kluczył, po czym wsiadł do drugiej dorożki. Kiedy dojechał na miejsce, kazał dorożkarzowi czekać, a sam wszedł na pierwsze piętro i zapukał. Usłyszał głośne, rozkazujące „proszę”.

— To pan, kapitanie? — zdziwił się generał Douai, gdy ujrzał go w drzwiach. — Co pana tu sprowadza?

— Chciałem pana ostrzec, ekscelencjo. Musi pan bezzwłocznie uciekać. Jesteśmy zdradzeni.

— Nie może być!

— Niestety! Czmychnąłem tylko dzięki temu, że powaliłem komisarza i wyskoczyłem oknem.

— To straszne! Kto nas zdradził?

— Nie wiem.

— A pańskie papiery?

— Skonfiskowane.

— Jesteśmy zgubieni, jeśli nas złapią — generał był blady jak ściana. — Musiał pan popełnić jakieś kapitalne głupstwo. Po drodze opowie mi pan.

— Chce pan jechać ze mną?

— Tak. Teraz nie przekroczę rosyjskiej granicy. Najlepiej byłoby udać się do Saksonii, ale nie kolejną, bo pewno obsadzi ją policja.

— Mam na dole dorożkę.

— A więc w drogę! Dopóki nie znajdziemy się za rogatkami, zmienimy parę dorożek. A co dalej, zobaczymy. Czy ma pan pieniądze?

— Tak.

— Mój kufer musi zostać. Mam dosyć pieniędzy, aby przeboleć tę stratę.

Schował pugilares, wziął kapelusz, palto i opuścili mieszkanie.

DWA POJEDYNKI

Wieczorem tego dnia w kasynie było jasno i rojno. Spodziewane przybycie Ungera zgromadziło oficerów gwardii, którzy wspólnie pragnęli zmanifestować mu swoją niechęć.

Starsi oficerowie zebrali się przy wielkim stole, młodzież rozproszyła się po sali w mniejszych grupkach i żywo omawiała wypadki.

Podporucznik von Ravenow, jak się rzekło, donżuan regimentu, rozgrywał z von Golzenem i von Platenem partię karambola. Chybiwszy łatwą kulę, uderzył kijem o podłogę.

— Do licha! — krzyknął. — Przeklęty pech!

— Za to szczęście w miłości — roześmiał się von Platen. — Swoją drogą nie powinieneś dzisiaj grać z kapitanem Shawem. Jesteś roztrzepany, on zaś gra po mistrzowsku. Oszczędzaj sakiewkę.

— Shaw? — von Golzen zniżył głos. — On już nie przyjdzie. Znajomość z tym panem wystawiła nas na pośmiewisko.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego.

— Lepiej o tym nie opowiadać.

— Nawet kolegom?

— Tylko dyskretnym.

— Uważamy się za takich. A może nie? Mówże!

— Wiecie, że od czasu do czasu bywam u Jankowa...

— Tego radcy policyjnego? Rzeczywiście opowiadają, że smalisz cholewki do jego najmłodszej córki.

— To ona pali się do mnie. Krótko i węzłowato: byłem tam dzisiaj i dowiedziałem się, że kapitan Shaw jest politycznym oszustem, a nawet, co więcej, zbiegłym przestępcą.

Von Ravenow, który zamierzał uderzyć kulą, zatrzymał się.

— Chyba żartujesz — powiedział z niedowierzaniem.

— Ani mi się śni! Czy może aresztuje się bez oczywistych dowodów człowieka, którego uważało się dotychczas za przedniego dżentelmena?

— Niech to piorun trzaśnie! Aresztowano go zatem?

— Przynajmniej chciano zaaresztować.

— Ale zaniechano?

— Ponieważ dał drapak.

— Nie do wiary! Czy wiesz na pewno?

— Tak. Jak i to, że mało nie udusił komisarza, który przyszedł go aresztować. Gdy ten był nieprzytomny, Shaw wyskoczył oknem z pierwszego piętra na ulicę.

— Wszyscy diabli! A miał tak wytworną powierzchowność! Dopuściliśmy go do naszego grona mimo jego mieszczańskiego pochodzenia, ponieważ był Jankesem. Ale tak jest zawsze: kto przestaje z hołotą, naraża się na najgorsze. Tym bardziej powinniśmy zbojkotować tego Ungera.

— Wydaje mi się — wtrącił von Platen — że jest drobna różnica między zbiegłym przestępcą a dzielnym oficerem.

— Plebejusz zawsze pozostanie plebejuszem, w cywilu czy w mundurze... Trzeba się postarać, aby jak najszybciej zażądał przeniesienia.

W tym momencie wszedł do kasyna pułkownik regimentu. Nieczęsto tu bywał. Tylko wtedy, gdy jakąś służbową sprawę chciał załatwić po koleżeńsku. Czekano więc, co ma do zakomunikowania i przerwano grę w karambola. Zgodnie z obyczajem dowódca musiał przyzwolić na jej kontynuowanie.

Pułkownik przysiadł się do starszych oficerów, poprosił o szklankę piwa i rozejrzał dookoła.

Wzrok jego zatrzymał się na von Ravenowie, który, chociaż trzpiot, był jego ulubieńcem.

— Graj, pan, partię do końca — powiedział — ale nie rozpoczynaj nowej.

— Panie pułkowniku, przegrałem, muszę się więc odegrać.

— Nie dzisiaj, chroń nogi i siły.

— A więc jutro odbędą się ćwiczenia?

— Tak, ale nie na koniu, lecz pieszo, a nadto z młodą damą w ramionach.

W kasynie zapanowała cisza jak makiem zasiał.

— Tak, tak — roześmiał się pułkownik. — Nie chcę waszej ciekawości wystawiać na zbyt długą próbę, więc od razu przystąpię do wyjaśnień. Spiesz mi się zresztą do partyjki wista. Podejdźcie bliżej.

Pułkownik tylko Kurta potraktował nieuprzejmie. Kiedy chciał i kiedy uważał, że to nie naraża na szwank jego honoru, potrafił być miły i towarzyski.

— Jutro — oświadczył — będzie ciężkie ćwiczenie nożne, które zazwyczaj nazywają balem.

— Gdzie? U kogo?

— W miejscu, którego najmniej się spodziewacie, moi panowie! Mam tu teczkę z sześćdziesięcioma zaproszeniami dla oficerów mego pułku, ich bliskich kolegów i pań.

— Ale kto zaprasza? — zapytał major, siedzący obok pułkownika.

— Założę się o dziesięć pensji miesięcznych, że nie zgadnie pan. Wyobraź pan sobie moje zdumienie, kiedy przed wieczorem otrzymałem tę paczkę wraz z listem następującej treści:

Do pana barona von Winsłowa

pułkownika pierwszego regimentu huzarów gwardii

Panie pułkowniku!

Jego Królewska Mość był, tak łaskaw, że oddał mi do dyspozycji apartamenty i ogrody swego letniego zamku na wieczorek taneczny. Przesyłam Panu zaproszenia, aby zechciał je Pan rozdać oficerom pańskiego regimentu oraz ich bliskim kolegom i paniom. Jestem pewny, że ujrzę Pana w towarzystwie Jego Pani Małżonki i córek.

Życzliwy

Ludwik III

Wielki Księżę Hesji-Darmstadt.

Pułkownik złożył list i przyjrzał się zdumionym twarzom słuchaczy.

— Co to ma znaczyć? — chciał wiedzieć major.

— Zadałem sobie to samo pytanie i nie znalazłem odpowiedzi. Moja żona (a wiecie panowie, że kobiety mają intuicję) mniema, że zanoszą się na oddanie regimentu wielkiemu księciu. Jego królewska mość w ten sposób zamierza sobie pozyskać niedawnego przeciwnika.

— Jak słyszałem, wielkiego księcia wezwano do Berlina telegraficznie — ośmielił się wtrącić podporucznik von Golzen.

— Skąd pan wie?

— Mój służący to sprytna bestia. Zawsze pełen nowości jak gazeta.

— Należy zatem spodziewać się ważnych dyplomatycznych zdarzeń. Ale po cóż mamy łamać sobie głowy! Po prostu jesteśmy zaproszeni na bal i spędzimy przyjemny wieczór! Nie byliśmy jeszcze w zamku, spotyka nas wyróżnienie godne zazdrości. Cieszymy się więc! A teraz rozdaję zaproszenia.

Von Ravenow skłonił się przed pułkownikiem.

— Ośmielam się zapytać, czy podporucznik Unger też otrzyma zaproszenie?

Mimo że było to zuchwalstwo, pułkownik odpowiedział przyjaznym tonem:

— Dlaczego ciekawi to pana, drogi podporuczniku?

— Ponieważ nie pójdę na bal, na którym miałbym się znaleźć w towarzystwie ludzi niższego pochodzenia.

— Wszyscy wyznajemy identyczne zasady co pan. Zresztą Unger wstępuje do regimentu dopiero jutro, zaproszenia zaś rozdamy za chwilę. Oto one. Zechce je pan wręczyć panom oficerom — zwrócił się do adiutanta.

Von Branden wyjął z teczki zaproszenia, dał każdemu, a resztę zachował dla nieobecnych.

Zaledwie skończył, wszedł Kurt Unger. Wszyscy spojrzeli na niego, ale zaraz odwrócili głowy, chcąc w ten sposób okazać mu niechęć.

Kurt wcale się tym nie stropił. Z czakiem przy boku podszedł do najstarszego rangą oficera, czyli do pułkownika von Winslowa. Stuknął obcasami i powiedział:

— Podporucznik Unger, panie pułkowniku, prosi łaskawie o przedstawienie kolegom.

Pułkownik udał, że nie dosłyszał, czego młody człowiek chce od niego.

— Że co? O co panu chodzi?

— Pozwalam sobie prosić pana pułkownika, aby mnie przedstawił kolegom.

Von Winslow podniósł brwi i przez chwilę przypatrywał się Kurtowi tak, jakby go widział po raz pierwszy.

— Przedstawić? A kimże pan jest?

Na twarzach oficerów malowało się złośliwe zadowolenie, jedynie podporucznik von Platen zarumienił się ze wstydu, że w tak niegodny sposób obraża się kolegę.

Teraz — wszyscy to czuli — Unger musiał wykazać, czy godzien jest munduru. Takiej zniewagi nie wolno było ścierpieć żadnemu oficerowi!

Kurt drgnął i odpowiedział, skandując niemal każde słowo:

— Pan, panie adiutancie, podporuczniku von Branden, jest świadkiem, że przedstawiłem się już dzisiaj. Jestem jednak gotów pomóc słabej pamięci. Jestem podporucznik Unger, panie pułkowniku.

Von Winslow zerwał się z krzesła.

— Niech to piorun trzaśnie! Co pan sobie myśli, panie Ummer, Unner, Unger, czy jak tam pan się nazywa! Kto ma słabą pamięć, co?

Kurt uśmiechnął się i odparł spokojnie:

— Tylko pan, panie pułkowniku, może wyjaśnić, czy zapomniał mego nazwiska z powodu słabej pamięci czy też po to, by mnie upokorzyć. W tym drugim przypadku poproszę pana ministra wojny, by mnie przedstawił panu pułkownikowi przed frontem regimentu i daję słowo honoru, że ekscelencja to uczyni.

Pułkownik zbladł. Przypomniawszy sobie polecający list ministra. Spojrzał w pewne siebie oczy młodzieńca i zrozumiał, że to godny przeciwnik. W dodatku zachowuje się tak, jak gdyby zamierzał zmyć zniewagę wyzwaniem, a to mogło narazić pułkownika na duże przykrości. Karą dla młodych oficerów za pojedynekowanie się jest zamknięcie w twierdzy, ale pułkownik, który prowokuje jednego z najmłodszych oficerów do wyzwania, może spodziewać się dymisji. Zrozumiał więc, że musi sprawę zatuszować.

— Jaka tam słabość pamięci! Jakie świadome działanie! Poruczniku von Branden — zwrócił się do adiutanta.

— Proszę przedstawić nowego kolegę! Zadowolony, że — jak mniemał — incydent jest zakończony, usiadł z powrotem do kart. Ale Kurt nie odchodził.

— Pozwoli pan, panie pułkowniku, chcę jeszcze coś powiedzieć.

— No? — twarz pułkownika była czerwona ze złości.

— Aby tylko krótko!

— Zwięzłość to moja specjalność. Nie dla własnego widzimisię opuściłem dotychczasową służbę. Wyższe względy sprawiły, że znalazłem się w pruskiej gwardii. Znam jej tradycje, dlatego sądziłem, że panowie koledzy nie tylko nie będą mnie bojkotować, ale potraktują przychylnie. Dziś jednak, składając służbowo wizyty wyższym oficerom, doznałem wręcz oburzającego przyjęcia. Spodziewałem się więc, że i tu, w kasynie nie będę mile widziany. Nie znoszę niepewności. Muszę wiedzieć, czy zostanę uznany za kolegę czy też odpowjednią pozycję w regimencie będę musiał sobie wywalczyć. Panie pułkowniku, pan się mnie wyparł! Nie ustąpię, póki się nie dowiem, czy był to skutek słabej pamięci czy celowy postępek. Zechce pan łaskawie odpowiedzieć!

Rozmowie Kurta z pułkownikiem przysłuchiwali się wszyscy. Czegoś podobnego nigdy tu jeszcze nie słyszano. Jak to się skończy? Albo pułkownik przyzna się do słabej pamięci — a to będzie dla niego kompromitacją — albo też oświadczy, że z premedytacją obraził podporucznika, to zaś musi doprowadzić do pojedynku, a więc również do kompromitacji. Wykręcić zaś mógłby się tylko oświadczeniem, że nie uważa mieszczanina za człowieka honoru. Dowódca regimentu wpadł więc we własne sidła. Oficerowie w napięciu oczekiwali, co powie.

Von Winslow stracił panowanie nad sobą. Takiej reprimendy nie spodziewał się od człowieka, którego lekcewał! Czerwony jak burak wrzasnął:

— A jeśli nie dam panu odpowiedzi?

— Pan jej nie może odmówić! Ma pan chyba dosyć odwagi, by nie lękać się mieszczanina!

Tego było pułkownikowi za wiele.

— Racja! — zawołał. — Nie jest pan człowiekiem, którego miałbym się lękać! Oświadczam tedy, że z premedytacją wyparłem się pana.

— Dziękuję panu, panie von Winslow! Nie powiadomię o tym przełożonych, ale żądam zadośćuczynienia. Pozwoli pan, że jutro przyślę swoich sekundantów.

— Nie pojedynkuję się z mieszczaninem!

— Byłby to wygodny sposób uniknięcia odpowiedzialności. Jeśli pan ich nie przyjmie, to niech sąd honorowy rozstrzygnie, czy człowiek noszący mundur oficera jego królewskiej mości nie może dać satysfakcji. Jeśli zaś wyrok będzie dla mnie nieprzychylny, oskarżę pana przed władzami o sprowokowanie podwładnego do wyzwania. Nie mam nawet połowy wieku pana, ale nie pozwolę się bezkarnie obrażać!

Odwrócił się gwałtownie, podszedł do ściany, zawiesił na gwoździu czako i szablę, po czym wziął gazetę spośród stosu leżącego na parapecie i rozejrzał się, szukając miejsca.

Nikt z obecnych nie ośmieliłby się teraz nie pozwolić mu usiąść, jednakże oficerowie przysunęli się do siebie, aby nie mieć go za sąsiada. Tylko jeden siedział tak jak siedział, a nawet życzliwie, zapraszająco, spoglądał na Ungera. Był to podporucznik von Platen. Kurt zauważywszy przyjazne spojrzenie, podszedł do niego.

— Pozwoli mi pan usiąść przy sobie, panie poruczniku? — zapytał.

— Ależ proszę bardzo, kolego. Nazywam się von Platen. Witam pana! — i podał mu rękę.

Kurt, patrząc w szczerze, uczciwe oczy podporucznika, powiedział:

— Dziękuję panu serdecznie. Nie przedstawiono mnie wprawdzie, ale moje nazwisko już wszyscy znają. Panie von Platen, czy mogę pana prosić o podanie mi nazwisk obecnych tu oficerów?

Jeszcze wciąż panowała głęboka cisza, toteż każde wymienione przez von Platena nazwisko docierało do najodleglejszych zakątków sali. Jedni udawali głęboki namysł nad kartami, inni w

pośpiechu chwyтали gazety. Przy stole Kurta ci, których nazwiska podawał von Platen, kiwali zmieszani głowami, Unger zaś kłaniał im się grzecznie. Tylko von Ravenow nie stracił kontenansu. Wziął w rękę kij bilardowy i zawołał:

— Chodź, von Golzen, kontynuujmy naszą partię! A ty, von Platen? Jesteś przecież trzecim.

— Dzięki, rezygnuję z gry.

Von Ravenow wzruszył ramionami.

— To się nazywa przenosić szklankę octu nad szampana.

Kurt udał, że nie bierze do siebie obraźliwego porównania. Von Platen, chcąc mu pomóc, sięgnął szybko po szachy i zapytał:

— Czy gra pan w szachy, panie Unger?

— Z kolegami, owszem.

— No, jestem przecież pańskim kolegą. Odłóż pan gazetę i spróbuj ze mną zagrać. Uczciwość nakazuje mi powiedzieć panu, że uważają mnie tutaj za niezwyciężonego.

— Muszę być równie lojalny — roześmiał się Kurt. — Kapitan von Rodenstein, mój opiekun, był mistrzem w szachach. Tak mnie doskonale wyuczył, że teraz już nie wygrywa ze mną.

— Doskonale! Mogę więc liczyć *na* ciekawą rozgrywkę.

To do reszty rozwiało nerwową atmosferę. W pół godziny później gra w szachy miała tak ciekawy przebieg, że oficerowie jeden po drugim wstawali, aby się jej przyjrzeć. Kurt wygrał pierwszą partię.

— Powinszować! — rzekł von Platen. — Dawno już nie przegrałem. Jeśli prawda to, że dobry strateg jest także dobrym szachistą, jest pan na pewno nader użytecznym oficerem.

Kurt czuł, że porucznik chciał mu tym komplementem wynagrodzić doznane przykrości. Odpowiedział zatem:

— Nie należy wyprowadzać zbyt pochopnych wniosków. Jeśli dobry strateg jest równie dobrym szachistą, to nie wynika z tego, że dobry szachista musi być dobrym oficerem. Zresztą w pierwszej partii pragnie się tylko poznać przeciwnika. Spróbujmy drugą!

— Chętnie. Ale nie zgadzam się z tą oceną. A propos, wymienił pan nazwiska kapitana von Rodensteina. Czy to nadleśniczy wielkiego księcia Hesji?

— Tak.

— Znam go. Stary, gburowaty zrzęda, ale uczciwy i bardzo lubiany przez księcia.

— Doskonale go pan scharakteryzował.

— Poznałem go w Moguncji u mego krewnego, który jest jego bankierem.

— Nazywa się Wallner, o ile dobrze pamiętam.

— Tak, tego mieszczanina poślubiła siostra mojej matki. W ten sposób stał się on kuzynem naszego majora, mojego wujka.

Oficerowie słuchali ze zdumieniem. Co też von Platenowi strzeliło do głowy, by wywlekać na światło dzienne stosunki rodzinne i kompromitować majora?! Kurt w lot zrozumiał jego zamiary. Podporucznik chciał mu dać zadośćuczynienie za przyjęcie, jakiego doznał u majora, a jednocześnie przypomnieć dumnym oficerom, że nawet w żyłach arystokracji płynie nie tylko błękitna krew.

Zacząła się druga partia. Kurt znowu wygrał. Kiedy rozpoczęli trzecią, część oficerów odstąpiła od ich stolików i skupiła się przy von Ravenowie i von Golzenie, bo ci z kolei zaczęli się przekomarzać.

— Znowu mnie ubiegłeś o piętnaście punktów — zalił się von Ravenow. — Nie mam szczęścia w grze!

— Ale za to w miłości!

— To wiadomo! Będziesz musiał zapłacić zakład. Zdobędę tę dziewczynę, a właściwie jest już moja!

— Jaki zakład? Jaka dziewczyna? — zaciekał się major. Albo naprawdę o zakładzie nic nie wiedział, albo też chciał powtórnie o nim usłyszeć.

— Von Ravenow miał mi dowieść, że jest amantem pierwszej klasy.

— Wyrażaj się, pan, jaśniej!

Von Golzen opowiedział przebieg zakładu. Wszyscy słuchali go uważnie, nawet obaj szachiści przerwali grę. Na zakończenie von Golzen powiedział:

— Von Ravenow jest donzuanem naszego regimentu. Twierdzi, że już zdobył ową pięknotkę.

— Czy naprawdę? Niech sam to potwierdzi! — poprosił pułkownik.

— Rozumie się. Która dziewczyna może mi się oprzeć? Nie tylko mnie, ale każdemu oficerowi gwardii. Oczywiście z naszej klasy.

Wszyscy spojrzeli na Kurta, ale on i ten kolejny przytyk puścił mimo uszu. Von Ravenow przez chwilę zdawał się czekać na odpowiedź nowego kolegi, po czym dodał:

— Nie minął czas wyznaczony przy zawieraniu zakładu, nie muszę jeszcze dawać dowodu, ale dziewczyna jest córką stangreta, a z taką chyba nie mam się co równać. Mogę jedynie powiedzieć już teraz, że zająłem miejsce w jej powozie i odprowadziłem ją aż do domu.

— Córka stangreta? — roześmiał się pułkownik. — Gratuluję panu, podporuczniku! Nietrudno jest wygrać taki zakład.

W tym momencie Kurt wyjął cygaro, odciął koniec i zapalając rzekł:

— Pan von Ravenow przegra ten zakład!

Nikt nie spodziewał się, że Kurt odezwie się właśnie teraz na temat sprawy, której nie znał, skoro dwukrotnie przełknął obrazę ze strony von Ravenowa. Robi się ciekawie! — pomyślał niejeden. Von Ravenow zaś posunął się o krok i zapytał:

— Co takiego, panie Unger?

— Powiedziałem, że pan przegra ten zakład. Pan von Ravenow tylko się pyszni.

Von Ravenow postąpił jeszcze jeden krok.

— Czy zechce pan łaskawie jeszcze raz powtórzyć to słowo?

— Z miłą chęcią! Pan von Ravenow nie tylko się pyszni, ale po prostu kłamie bezczelnie!

— Nie pozwolę się obrażać! Jak pan śmie! W dodatku w tym miejscu!

— Czemu nie? Jesteśmy wśród swoich. Zresztą nie wyjawiałbym pana kłamstw, gdyby ta młoda kobieta nie była moją bliską przyjaciółką i gdyby, tym samym, obowiązek nie nakazywał mi bronić jej dobrego imienia.

— Słuchajcie! — zawołał von Ravenow. — Córka stangreta jego przyjaciółką! I taki wciska się do naszego grona! Taki chce być oficerem gwardii!

Znów wszyscy wstali. Nie ulegało wątpliwości, że dojdzie do awantury. To nareszcie wieczór, którego długo się nie zapomni! Mieszczkański intruz usadził pułkownika, teraz von Ravenow nauczy go rezonu!

Kurt siedział na swoim miejscu.

— Wspomniałem już — powiedział chłodnym tonem — że nie ja się tu wciskałem, lecz byłem tylko posłuszny woli zwierzchników. Poza tym zachodzi pytanie, kto bardziej zasługuje na szacunek: przyjaciel córki stangreta czyjej uwodziciel. Muszę jednak postawić znak zapytania nad tym ostatnim słowem. Pan von Ravenow, to prawda, bezwstydnie wcisnął się do powozu, ale nie udało mu się odprowadzić pań do domu, gdyż wysadziły go wkrótce przy pomocy policjanta.

Głośne „ach” rozległo się w pokoju. To były mocne słowa!

Von Ravenow zbladł z wściekłości czy też ze strachu, że przeciwnik wie o wszystkim. Stał o dwa kroki od Ungera i wrzasnął:

— O czym pan mówi? O bezwstydy? O wysadzeniu? Co więcej, o policjancie? Proszę odwołać te słowa! Natychmiast!

— Ani mi się śni! Mówię prawdę, a prawdy się nie odwołuje.

Von Ravenow wyprostował się. Widać było, że za chwilę rzuci się na Ungera.

— Rozkazuję panu — krzyknął — abyś natychmiast odwołał wszystko i prosił mnie o wybaczenie!

— Pan miałby mi rozkazywać!?

— Właśnie ja! Rozkazuję panu także, abyś wystąpił z naszego pułku, gdyż nie jesteś nas godzien! Jeśli nie posłuchasz, zmuszę pana. Czy wie pan, jak się kogoś wyrzuca z wojska?

Unger, wciąż udając obojętność, roześmiał się i odpowiedział:

— Każde dziecko wie. Policzkuje się po prostu. Spoliczkowany nie może już służyć.

— A więc jeszcze raz pytam: czy zechce pan odwozywać, prosić o wybaczenie i przyrzec nam, że wystąpi z pułku?

— Śmiechu warte!

— No więc masz to, na co zasłużyłeś!

Rzucił się na Kurta i zamierzył. Ale chociaż wykonał to błyskawicznie, Unger był jeszcze szybszy. Lewą ręką odparował cios, w mgnieniu oka chwycił von Ravenowa za biodra, podniósł i cisnął na ziemię z taką siłą, że podporucznik padł zemdlony.

Nikt nie przypuszczał, że ten młody oficer może być aż tak silny i zręczny. Niektórzy znieruchomieli z przerażenia i utkwili spojrzenia w zwycięzcy. Inni podeszli do von Ravenowa leżącego nieruchomo na ziemi. Na szczęście znalazł się na miejscu lekarz. Natychmiast zbadał poszkodowanego.

— Żadnej kostki sobie nie złamał i chyba nie odniósł również wewnętrznych obrażeń — orzekł. — Szybko wróci do przytomności, zostanie mu tylko kilka sińców. Proszę mi pomóc położyć go na kanapie.

Kurt stał obojętnie, jak gdyby nic go to wszystko nie obchodziło. Pułkownik uważał, że z racji zajmowanego stanowiska powinien przywołać go do porządku. Powoli zbliżył się do niego i powiedział ostrym tonem:

— Mój panie, napadł pan na podporucznika von Ravenowa...

— Obecni tu panowie mogą poświadczyć, że był to tylko akt obrony — przerwał mu Unger. — Ośmielił się grozić mi spoliczkowaniem, rzucił się na mnie i zamierzył. Mimo to oszczędziłem go. Przecież mogłem policzkując go, uniemożliwić mu dalszą służbę.

— Rozkazuję panu nie przerywać, kiedy mówię! Jestem pańskim przełożonym! Pan może tylko milczeć i słuchać! Zapamiętaj to pan sobie! Natychmiast opuści pan kasyno! Wymierzam panu areszt domowy.

Oficerowie odetchnęli z ulgą, Kurt znowu ich zaskoczył. Ukłonił się kurtuazyjnie i rzekł:

— Proszę o wybaczenie, panie pułkowniku! Jutro natychmiast usłucham pańskiego rozkazu. Dziś jednak nie obowiązuje mnie posłuszeństwo, ponieważ dopiero od jutra rana rozpoczynam służbę. Uważam, że gniew nie powinien dyktować nieprzemyślanych rozkazów.

— Panie Unger! — ostrzegł pułkownik. Ale Kurt nie dał się zbić z tropu:

— A zatem nie może być mowy o areszcie. Jednak zgodnie z pana życzeniem opuszczam ten lokal i to chętnie, gdyż nie zwykłem bywać tam, gdzie jestem narażony na obelgi, a nawet na spoliczkowanie, co zazwyczaj zdarza się jedynie w podrzędnych tawernach lub podobnych im

miejskach. Dobranoc, moi panowie!

Odpowiedziały mu pomruki złości. Kurt włożył czako, przypasał szablę, uklonił się i wyszedł z dumnie podniesioną głową.

— Ten chłopak to istny diabeł! — wykrzyknął major.

— Wypędzimy z niego diabła — warknął pułkownik. — On chce mnie wyzwąć!? Czyście słyszeli coś podobnego?!

Nie zwrócono uwagi, że podporucznik von Platen poszedł za Ungerem. Dopadł go za drzwiami, chwycił pod rękę i zawołał:

— Niech się pan zatrzyma, podporuczniku! Uknuto przeciw panu haniebną znowę. Czy uwierzy mi pan, gdy zapewnię, że ja nie biorę w tym udziału?

— Wierzę panu, ponieważ dowiódł pan tego swym postępowaniem — Kurt uściśnął mu dłoń. — Dziękuję panu z całej duszy! Muszę wyznać, że byłem przygotowany na niechętnie przyjęcie, ale takiego grubiaństwa się nie spodziewałem. Bardzo mi przykro...

— Bronił się pan dzielnie. Obawiam się jednak, że będzie pan musiał wystąpić z gwardii.

— To się jeszcze okaże! Nie pochodzenie przecież określa człowieka!

— Myślę tak samo, choć jestem szlachcicem. Pułkownik zasłużył na pańską ripostę, nikt jednak nie spodziewał się, że dostanie aż taką odprawę. Co się zaś tyczy von Ravenowa... Czy rzeczywiście zna pan tę damę?

— Bardzo dobrze. I ona, i jej babka opowiedziały mi całe zdarzenie.

— Ale czy zgodnie z prawdą?

— One nie kłamią. I jeszcze coś panu powiem. Ta młoda osoba wcale nie jest córką stangreta. Czy przyrzeknie mi pan dyskrecję?

— Oczywiście.

— To wnuczka hrabiego de Rodrigandy. Mieszkam u hrabiego i wychowałem się razem z nią. Widzi pan zatem, że mogę się nie wstydzić tej przyjaźni.

— Do licha! Ale skądże von Ravenow...

— To fanfaron i w dodatku niezbyt mądry. Każdy inny na pierwszy rzut oka dostrzegłby, że ma przed sobą kobietę, która odebrała staranne wychowanie. Bezczelnie wtargnął do powozu i opuścił go dopiero na skutek interwencji policjanta.

— Mój Boże, jak głupio i nieładnie! Ale skądże wpadło mu do głowy, że to córka stangreta?

— Wziął na spytki mojego służącego w pobliskiej knajpie. Stary Ludwik to bestia kuta na cztery nogi. Wmówił w niego, że owa panienska jest córką stangreta.

— Wszystko już dla mnie jasne w tej sprawie. Proszę mi tylko powiedzieć: czy władza pan równie dobrze bronią jak pięścią?

— Tak.

— Cieszę się. Wyzwanie von Ravenowa jest pewne. A jak pan postąpi z pułkownikiem?

— Jutro pošlę mu sekundanta.

— Kogo?

— Nie wiem. Moich bliskich nie chciałbym w to wtajemniczać, a znajomych nie mam tu jeszcze.

— Służę swoją osobą.

— Narazi się pan kolegom i przełożonym.

— Nie dbam o to. W wojsku jestem dla przyjemności. Mój majątek zapewnia mi niezależność. Proszę więc pana, abyś mnie wybrał na sekundanta. Zyskał pan mój szczery szacunek. Bądźmy przyjaciółmi!

— Dziękuję panu z całego serca i przyjmuję propozycję. Już podczas wizyty u majora poczułem,

że pana polubię.

Uścisnęli sobie dłonie. Von Platen zapytał:

— Czy idzie pan teraz do domu?

— Nie. Wprawdzie starałem się zachować spokój, ale wewnętrznie jestem ogromnie wzburzony.

Nie chciałbym, żeby w domu to poznano. Pójdę więc na szklankę wina.

— Pragnę towarzyszyć panu. Niech pan chwilę poczeka! Muszę wrócić do kasyna po swoje rzeczy.

Kurt spacerował po ulicy, nie przeczuwał nawet, jakie znaczenie w jego życiu będzie miał podporucznik *von Platen* i wspomniany przez niego bankier *Wallner* z *Moguncji*.

Obaj młodzi ludzie wstąpili do winiarni. Niedługo potem *von Platen* odprowadził *Ungera* do domu. Kiedy się żegnali przed bramą, frontowe okna *willi* były jeszcze jasno oświetlone.

W salonie Kurt zastał wszystkich zebranych dokoła znamienitego gościa. To sam wielki książę odwiedził hrabiego *Rodrigandę*.

— Oto i nasz huzar gwardii! — zawołał książę, ujrawszy podporucznika. — Był pan w kasynie?

— Tak, wasza wysokość.

— Czy spotkał pan pułkownika?

— Owszem.

— A dostał pan od niego zaproszenie?

— Nic o tym nie wiem.

— Aha, ten filut chciał pana pominąć. Rozdał moje zaproszenia, nim pan przyszedł do kasyna. Ale sprawimy mu niespodziankę. Dowiedziałem się dziś od mego przyjaciela, jakie przykrości spotkały pana w regimencie. Postanowiłem więc dać tym panom nauczkę! Powinni być dumni, iż podporucznik *Unger* znalazł się w ich szeregach. Niech się pan nie rumieni, mój drogi! Ordery, które nosisz, okupiłeś ranami. Wiem też od króla o dzisiejszym pańskim wyczynie. Zaprosiłem oficerów pańskiego regimentu i ich przyjaciół na bal jutro wieczorem. Król odstąpił mi w tym celu swój zamek. Niech się pan wystroi na to przyjęcie i przypnie wszystkie ordery! Niejeden z tych pyszałków pęknie z zazdrości!

| Kurt był bardzo wzruszony. Dla niego, ubogiego syna marynarza, książę urządza wspaniały bal, i to w zamku monarchy pruskiego! Łzy stanęły mu w oczach. Wykrztusił:

— Wasza wysokość, nie wiem, jak...

— Dobrze, już dobrze, mój drogi podporuczniku — przerwał książę. — Znam pana. Nie musi mnie pan o niczym zapewniać. A teraz pora już na mnie. Żegnam państwa.

Po wyjściu księcia Kurt dowiedział się, że został zaproszony także *don Manuel* wraz z córką i wnuczką oraz *Amy Dryden*. Niebawem udał się do swego pokoju, aby odpocząć przed trudami następnego dnia.

Po pewnym czasie zapukano do drzwi. Nie oczekiwał nikogo. Był mile zdziwiony, gdy w drzwiach ukazała się *Różyczka*.

— Muszę z tobą porozmawiać — powiedziała..

— Jak się cieszę! Siadaj, proszę.

— Wprawdzie młoda panna nie powinna tak późno i w dodatku sama odwiedzać młodego człowieka, ale przecież jesteśmy jak rodzeństwo, prawda?

— Oczywiście — zapewnił. — Czy mama wie, że tu jesteś?

— Naturalnie.

— I pozwoliła ci przyjść?

— Nawet prosiła mnie o to. Mam cię zapytać o coś ważnego.

— O co, Różyczko?

— Podaj mi przede wszystkim rękę, Kurcie. O, tak! Czy potwierdzasz, że zawsze się kochaliśmy?

Drgnął, opanowało go trudne do opisanego uczucie i skinął potakująco głową.

— I że się jeszcze Kochamy?

— Ja ciebie na pewno!

— Wiem o tym! A może myślisz, że ja cię nie Kocham jak dawniej? Jeśli tak, to jesteś w błędzie!

Posłuchaj! Kogo się Kocha, tego zna się dokładnie. I ja też cię znam. Odgaduję wszystkie twoje myśli, kiedy jestem przy tobie. A kiedy coś ukrywasz, wiem o tym. Czy wierzysz?

— Tak — wykrztusił.

— Otóż kiedy przyszedłeś z kasyna, po wyrazie twoich oczu poznałam od razu, że wyrządzono ci krzywdę, że źle cię potraktowano. Ty zaś nie jesteś człowiekiem, który to puści płazem. Była chyba awantura, a wy, oficerowie, od razu chwytaście za broń. Spójrz mi prosto w oczy!... Już wiem, co nastąpiło! — wykrzyknęła po chwili. — Pojedynek!

— Różyczko!

— Jestem tego pewna! Czy chcesz mnie okłamać?

— Nie! Nigdy!

— No więc powiedz, czy moje przypuszczenia są słuszne.

— Przrzekasz, że będziesz dyskretna?

— Oczywiście! — zapewniła gorąco.

Już się nie wahał.

— Odgadłaś, Różyczko.

— A zatem pojedynek! Czuję to, przeczułam! Czy wierzysz więc, że cię Kocham?

Przycisnął usta do jej dłoni i odpowiedział cicho:

— Wielkie to dla mnie szczęście!

— Dla mnie też, że tak bez reszty mogę tobie ufać! Czy myślisz, że niepokoi mnie ten pojedynek?

— Nie?

— Ani trochę. Pokonasz przeciwnika. Ale mama się boi. A ponieważ wie, że mnie powiesz prawdę... i że pojedyneków się nie odkłada, prosiła, abym dzisiaj porozmawiała z tobą.

— Czy mówiłaś jeszcze komu o swoich podejrzeniach? — zapytał.

— Nie, tylko mamie. Nikt inny nie powinien o tym wiedzieć. Może odwiedzono by cię od tego zamiaru, a ty przecież musisz to zrobić!

— Różyczko, jesteś wspaniała! I taką dzielna!

— Nie myśl, że nigdy się o ciebie nie bałam. Kiedy poszedłeś na wojnę, naprawdę miejsca sobie znaleźć nie mogłam, bo kule są ślepe. Ale w pojedynku decyduje zręczność i opanowanie, a ty jesteś najzręczniejszy i bardzo opanowany. Czy mogę wiedzieć, kto będzie twoim przeciwnikiem?

— Będzie ich dwóch.

— I obu pokonasz! Mam tylko prośbę: nie zabijaj tych ludzi! Dobrze?

— Obiecuję ci to.

— Dziękuję, Kurcie. A teraz możesz mnie pocałować w rękę.

Wyciągnęła obie, a kiedy je całował, powiedziała z uśmiechem:

— Tak postępowały ongiś damy rycerzy, a przecież ja jestem twoją damą. Gdyby mama nas teraz widziała, śmiałyby się na pewno. Ale, ale... Nie wymieniałeś mi jeszcze swoich przeciwników.

— Pierwszy to mój pułkownik...

— A drugi?

— Podporucznik von Ravenow.

— Ten, który nas tak brutalnie zaczął? A więc pojedynkujesz się z nim z mojego powodu! Prawda?

— Zgadłś — potwierdził.

— Wszystko, wszystko wyczytałam z twoich oczu! — cieszyła się jak dziecko. — Teraz zostałeś moim najprawdziwszym rycerzem. Pomścisz swoją Różyczkę! Wiem już wszystko i mogę wracać do mamy.

do mam Co jej powiesz?

— Nie sądzisz chyba, że cokolwiek przemilczę.

— Uchowaj, Boże! Nic przed nią nie ukrywaj, ale zrób to w takiej formie, żeby się nie przeraziła. I poproś ją o dyskrecję.

— Możesz liczyć na mamę. Dobranoc, drogi Kurcie.

— Dobranoc, moja kochana!

Na progu zatrzymała się, odwróciła i rzekła z uśmiechem:

— Zapomniałam o bardzo ważnej rzeczy! Skoro jesteś moim rycerzem, muszę, jak robiły to damy, dać ci przed walką kokardkę. Czy dobra będzie ta, którą mam przy sukni?

Jej czułość wzruszyła go do głębi.

— O, jaka piękna! Czy naprawdę chcesz mi ją dać?

— A jak myślisz? — zerwała kokardę i podała Kurtowi.

— Przypniesz ją na piersiach. Albo nie! Po co wszyscy mają wiedzieć?

— Schowam pod mundurem. Na sercu.

Różyczka oblała się rumieńcem i opuściła długie rzęsy, lecz po chwili podniosła powieki.

— Dobrze, to najlepsze miejsce. Będę ją później nosiła z dumą.

— Jak to? Mam zwrócić?

— A dlaczego nie?

— Jeśli zechcesz... — i dodał z zakłopotaniem: — Ale wówczas musiałabyś ją wykupić, jak to czyniły damy.

— Wykupić? Czym?

— Pocałunkiem.

Rumieniec na policzkach dziewczyny rozszerzył się jeszcze bardziej i pociemniał.

— Czy rzeczywiście tak postępowały damy? Nie wiedziałam. Ale jeśli nie odbiorę wstążki, nie będę musiała płacić fantu?

— Nie.

— Zastanowię się więc. A co wolałbyś?

— Otrzymać pocałunek i zachować wstążkę.

— Idźże! Zbyt wiele żądasz! Zatrzymaj kokardkę. Potem ci powiem, co postanowiłam.

Wyszła. Serce Kurta było przepelnione miłością. Przycisnął kokardkę do ust. Poczł subtlny zapach rezedy, który Różyczka bardzo lubiła. Położył się na kanapie i długo myślał o ukochanej. W końcu zapadł w sen i dalej marzył o niej.

JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ

Kiedy Kurt się obudził, jasne słońce zaglądało przez okno. Całą noc przespał na kanapie. Wyszedł do ogrodu na krótką przechadzkę. Gdy wrócił do domu na śniadanie, wszyscy już siedzieli przy stole w jadalni. Spojrzał na Różyczkę. Wyglądała blado, jak gdyby spała niewiele, i unikała jego wzroku. Czyżby taki był skutek ich wieczornej rozmowy? — zmartwił się Kurt. Za to pani Roseta Sternau wpatrywała się w niego swymi pięknymi, spokojnymi oczami. Czytał w nich niema obietnicę, że jego sekret zachowa w tajemnicy.

Zaraz po śniadaniu musiał zameldować się w szwadronie. Służący Ludwik osiodłał konia. Był to wspaniały andaluzyjski ogier, podarunek hrabiego. Kurt dosiadł go i ruszył do koszar. Gdy wjeżdżał w podwórze, szwadrony już się zbierały. Korpus oficerski — prawie w komplecie — czekał na pułkownika, by rozpocząć ćwiczenia.

Spojrzenia wszystkich spoczęły na Kurcie. Von Rave-now zaś, który czuł się już dobrze po wczorajszym wypadku, odwrócił głowę, gdy zobaczył zbliżającego się przeciwnika.

— Do licha, co za rumak! — szepnął von Branden. — Za czyje pieniądze ten synalek marynarza kupił to wspaniałe zwierzę!? I na takim rumaku zamierza jeździć podczas zwykłej służby?!

Kurt ukłonił się kolegom, a ci ledwo mu odpowiedzieli. Jedyne von Platen podjechał do niego, podał przyjaźnie dłoń i powiedział tak głośno, by wszyscy słyszeli:

— Dzień dobry, Unger. Przepyszny ogier! Gzy więcej takich stoi w pana stajni?

— To mój koń, rzecz można, służbowy. Pozostałe muszę oszczędzać.

— Do pioruna! — mruknął adiutant. — Ten plebejusz chce nam wmówić, że inne jego konie są jeszcze cenniejsze! Jestem pewny, że łajdak puszy się tylko! A ten von Platen to też ziółko! Trzeba mu będzie dać nauczkę.

Nadjechał pułkownik. Wyraz jego twarzy wskazywał ledwo hamowaną wściekłość. Adiutant, salutując, zbliżył się do niego.

— Co ma pan do zameldowania poza codziennym raportem? — zapytał dowódca.

— Według rozkazu, nic, panie pułkowniku. Podporucznik Unger stawił się do służby.

— Podporucznik Unger, wystąpić! — rozkazał ostrym głosem pułkownik.

Kurt podjechał i w milczeniu zatrzymał się przed pułkownikiem. Prezentował się doskonale: jak gdyby wraz z wierzchowcem był odlany z brązu. Przełożony bardzo chciał go skarcić za jakąś niezgodność z regulaminem, ale nie znalazł pretekstu.

— Może pan opuścić koszary — powiedział opryskliwym tonem. — Zawiadomię pana, czy będzie pan w ogóle potrzebny.

Kurt zasalutował i odjechał.

— Świetny jeździec! — adiutant odprowadzał go spojrzeniem. — Gdzie się tego nauczył?

Unger doskonale zdawał sobie sprawę, że dwa wyzwania są dostatecznym powodem, aby odsunąć go, przynajmniej na jakiś czas, od służby. Z kolei gdyby nawet wyszedł z obu pojedynków zwycięsko, oczekiwało go uwięzienie w twierdzy. Wrócił do domu. Tak wczesny powrót wytłumaczył tym, że nie uważano za konieczne, by już dzisiaj brał udział w ćwiczeniach.

Trwały one niemal dwie godziny. Zaledwie pułkownik znalazł się w domu, adiutant zameldował von Platena.

— A, dobrze, że pana widzę, podporuczniku — powitał go cierpko komendant. — Nie pojmuję pańskiego postępowania wczoraj wieczorem. Dlaczego pozwolił pan temu człowiekowi usiąść przy sobie? Co więcej, grał pan z nim w szachy!

— Uważam, że niegrzeczność nie przystoi nikomu, zwłaszcza oficerowi. Przypuszczam ponadto,

że minister, przysyłając nam nowego kolegę, spodziewał się, iż go godnie przyjmimy.

— Ale znał pan przecież nasze ustalenia!

— Nie przyłączyłem się do tego spisku!

— W dodatku, jak mi się zdaje, wyszedł pan za nim z kasyna.

— Wyszędłem. Uważam go za człowieka ze wszechmiar godnego szacunku. Zostaliśmy przyjaciółmi.

— To tak?! — pułkownik już nie panował nad słowami. — Nie liczy się pan z kolegami! Nie obchodzi pana, że źle ich usposobisz do siebie! A może pan myśli, że nie zareagujemy na to, iż bierzesz pod opiekę parszywą owcę?!

— Podporucznik Unger, powtarzam, zyskał mój szacunek i przyjaźń, proszę więc, by zechciał pan nie używać w mojej obecności tego rodzaju określeń. Zresztą, na jego to prośbę pozwoliłem sobie odwiedzić pana pułkownika.

— Chyba nie jako sekundant?

— Właśnie w tej roli.

— Do pioruna, a więc naprawdę ośmielił się mnie wyzwąć?

— W jego imieniu proszę pana o zadośćuczynienie.

— To wielce nierozsądny postępek, podporuczniku. Czy zapomniał pan, że jestem jego przełożonym?

Von Platen odpowiedział z godnością:

— W stosunkach służbowych jestem pana podwładnym, ale w sprawach honoru jesteśmy sobie równi. Mój przyjaciel żąda satysfakcji i prosi, abym ustalił z panem pułkownikiem warunki.

Pułkownik chodził po pokoju w tę i z powrotem. Nie mógł sobie darować, że dał się wciągnąć w tak nieprzyjemną sytuację! Istniało tylko jedno, bardzo wątpliwe zresztą, wyjście.

— Pojedynkuję się tylko ze szlachcicem — oznajmił.

— Nie uważa więc pan Ungera za człowieka honoru i odmawia mu satysfakcji?

— Odmawiam.

— A zatem z jego upoważnienia zwrócę się do majora von Palma, aby jako radca w sprawach honorowych naszego regimentu zwołał sąd honorowy. Niech on orzeknie, czy mój przyjaciel ma prawo żądać satysfakcji czy nie. Ponieważ już jest po służbie, sąd zbierze się jeszcze dziś po obiedzie. Mam nadzieję, że wyrok będzie przychylny dla mego przyjaciela. Żegnam.

Niebawem również pułkownik wyszedł z domu, aby zabiegać u członków sądu o wyrok pomyślny dla siebie.

Von Platen udał się teraz do von Ravenowa. Podporucznik przyjął go chłodno i zapytał obcesowo:

— Czemu zawdzięczam tę zaszczytną wizytę, von Platen?

— Zaszczytną wizytę? Dlaczego tak oficjalnie mnie witasz?

— Skoro przeszedłeś na stronę wroga, mogę być wobec ciebie tylko oficjalny i uprzejmy. Proszę, abyś tak samo odnosił się do mnie.

Von Platen skłonił się.

— Jak chcesz. Kto broni niewinnego, ten musi być przygotowany na wszystko. Nie będę ci zresztą długo przeszkadzał, zostawię tylko adres mego przyjaciela Ungera.

— A to po co?

— Abyś mógł mu przekazać pilną, jak mniemam, wiadomość.

— Zgadłeś. Ale nie muszę chyba znać adresu, ponieważ przypuszczam, że masz od niego pełnomocnictwo.

— Nie mylisz się. A więc informuję, że Unger jest do twojej dyspozycji.

— Doskonale. Von Golzen będzie moim sekundantem. Jaką broń wybrał twój tak zwany przyjaciel.

— Tobie pozostawia wybór.

— A więc jest aż tak pewny siebie! — zawołał z gniewem von Ravenow. — Czy powiedziałeś mu, że jestem najlepszym szermierzem regimentu?

— Nie. Obraziłbym go. Zresztą nie boi się ciebie. Chyba nie zapomniałeś, że dowiódł już tego...

— Zaskoczył mnie i oszołomił! A więc ja wybieram?

— Oczywiście.

— W takim razie przeliczył się. Przez dłuższy czas ćwiczyłem z pewnym Czerkiesem, mistrzem we wschodniej szermierce. Wybieram krzywe szable tureckie, grube i ciężkie. To najlepsza broń do odcięcia głowy!

— Czy cię diabeł opętał!? — przeraził się von Platen. — Tutaj nie używa się takiej broni!

— Co z tego? Dał mi prawo wyboru!

— Skąd wziąć te handzary czy jatagany, czy jak te szable się zwą?!

— Mam parę.

— Ależ to nieuczciwe! Proponujesz broń, którą umiesz władać, a on jej wcale nie zna!

— Był tak bezczelny, że dał mi prawo wyboru. Niech teraz tego żałuje. O nieuczciwości nie ma mowy.

— A więc watka na śmierć i życie? To straszne!

— Nie lamentuj! Znieważył mnie śmiertelnie, powalił na ziemię. Ponieważ nie powinien zostać w regimencie, stawiam warunek, aby walczyć tak długo, dopóki jeden z nas nie padnie martwy lub co najmniej będzie niezdolny do służby.

— Zbyt ostro sobie poczynasz. Muszę ci przypomnieć, że Unger ciebie oszczędził, chociaż mógł zhańbić spoliczkowaniem, tak jak ty zamierzałeś.

— To przypomnienie jeszcze bardziej mnie utwierdza w powziętym zamiarze.

— Wszystko więc spadnie na twoje sumienie! A czas i miejsce?

— Niech się zastanowię... Czy Unger wyzwał pułkownika?

— Tak. Ale von Winslow odmawia zadośćuczynienia. Właśnie idę do sądu honorowego.

— Nie pojmuję pułkownika! Czyżby był aż tak tchórzliwy? Obraża oficera, pozwala się przez niego osmieszyć i w końcu stara się uniknąć rozprawy. Jeśli sąd wypowie się za pojedynkiem, chciałbym, aby oba spotkania odbyły się kolejno w tym samym miejscu. W przeciwnym razie mój sekundant zawiadomi cię, co postanowiłem. Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

— Nie. A zatem żegnam. Do zobaczenia!

Von Platen poszedł prosto do majora von Palma. Radca spraw honorowych przyrzekł mu jak najszybciej zwołać sąd. Po tej wizycie zjawił się u Kurta. Podporucznik na wiadomość o tureckich szablach wzruszył tylko ramionami.

— Ten dżentelmen chce mnie zabić. Ja będę bardziej wspaniałomyślny. Pułkownik jest tchórzem. Niepodobna, aby sąd honorowy wydał pomyślny dla niego wyrok.

Von Winslow zdecyduje się zapewne na pistolety, i to na duży dystans. Jestem gotów go oszczędzić. Twierdza to kara wystarczająca. Kiedy mam się spodziewać werdyktu sądu?

— Przed wieczorem.

— Przyniesie mi pan wiadomość?

— Tak. Jeszcze zanim pójde na bal wielkiego księcia. Znowu potraktowano pana haniebnie. Miał pan prawo do zaproszenia, a jednak pominięto pana...

— Niech się pan nie przejmuj! — roześmiał się Kurt. — Obejdę się bez ich zaproszenia, mam prywatne od wielkiego księcia.

— O! — von Platen był zaskoczony. — A więc przyjdzie pan?

— Oczywiście. Muszę panu wyznać, że cieszę się względami mojego władcy. Dowiedział się, jak mnie tu przyjęto, i wczoraj wieczorem mi powiedział, że urządza bal właśnie w tym celu, aby dać mi publiczną satysfakcję.

Von Platen jeszcze bardziej się zdumiał.

— To więcej niż względy! Musi pan być jego ulubieńcem!

— Może i tak. Ale proszę pana, abyś nikomu nie wspominał, że przyjdę. Niech koledzy, którzy uważają mnie za intruza, mają niespodziankę! Na balu więc powie mi pan o wyroku sądu. A ja przedstawię pana wielkiemu księciu, hrabiemu Rodrigandzie oraz damom.

— Wielkie nieba, co za wyróżnienie. Czy zechce mnie pan także przedstawić owej pięknej, młodej damie, której dotyczył zakład?

— Jakżeby nie? A teraz czas się pożegnać, mój drogi. Musimy przygotować się do balu.

Po południu zebrał się sąd honorowy. Członkami byli wyłącznie arystokraci, którzy uważali Ungera za parszywą owcę według wyrażenia pułkownika. Wydali stronnaczy wyrok. Niewątpliwie przyczyniły się do tego zabiegi pułkownika. Stwierdzono w werdykcie, że obraza była wzajemna; pułkownik zapałł się swego oficera, a on wytknął przełożonemu słabą pamięć; obie te obrazy się równoważą. Zatem podporucznik Unger nie ma prawa żądać zadośćuczynienia, a pułkownik baron von Winslow go udzielać; co za tym idzie, o pojedynku nie ma mowy. Dodano również, że postępowanie podporucznika Ungera było naganne i nie mogło uzyskać przychylności oficerów. Jego pochodzenie oraz usposobienie nie odpowiadają korpusowi oficerów gwardii. Powinien wyciągnąć z tego wnioski i prosić o inny przydział.

Wyrok był ujęty w formę protokołu. Von Platen otrzymał odpis dla Ungera. Choć widział, że oczekują od niego uwagi, nie odezwał się ani słowem, schował odpis i wyszedł. Był przeświadczony, że sprawa nie zakończy się na tym.

Pułkownik za to czuł się już zwycięzcą. Przypuszczał, że po takim orzeczeniu Kurt nie ośmieli się nalegać, aby pozwolił mu przystąpić do służby. Z uczuciem satysfakcji wrócił do domu. Przebrał się w mundur galowy i ponaglał damy; nie wypadało się spóźnić na bal.

Letni zamek królewski, leżący nad Szprewą, w uroczej okolicy, na przedmieściu Spandau, był tego wieczora odświętnie udekorowany. W ogrodzie płonęły niezliczone lampiony, ukryte pośród krzewów i kwiatów. W salonach błyszczało morze świateł. Służba krzątała się, mistrz ceremonii stał przed drzwiami i witał licznych gości.

Zgodnie z obowiązującą zasadą najpierw przybyli podporucznicy, a po nich kolejno coraz wyżsi rangą oficerowie. W przedpokoju witał ich adiutant wielkiego księcia, wskazując każdemu właściwy stolik. Na koniec zjawili się generałowie brygady i dywizji wraz z małżonkami.

W dużym salonie siedziała na podium orkiestra, która miała przygrywać do tańca. Panowała atmosfera oczekiwania. Służący roznosili chłodzące napoje, z jadalni rozlegały się dźwięki porcelany i szkła.

Wreszcie otworzyły się drzwi i oznajmiono wielkiego księcia. Wszyscy wstali. Gospodarz balu prowadził pod rękę Rosetę Sternau. Za nimi szedł don Manuel z Amy Dryden i matką Sternaua, a po tej trójce Kurt i Różyczka.

Huzarzy wybałuszili oczy. Na torsie podporucznika błyszczał austriacki order Żelaznej Korony, wojskowy order Marii Teresy, heski Ludwika, order Lwa i order Żelaznego Hełmu, a także Krzyż Zasług Wojennych.

Spojrzenia kobiet spoczęły na przystojnym podporuczniku. Tylko niektóre go znały. Panowie za to wpatrywali się w młodziankę dziewczynę, która z wdziękiem opierała się na ramieniu Ungera.

Wielki książe podszedł do generała dywizji, prosząc, by przedstawiono go paniom; wymienił przy tym członków swojej świty.

Nietrudno pojąć, jakie wrażenie wywarła na podporucznikach obecność Kurta. Adiutant von Branden szepnął do von Golzena:

— Ty, czy dobrze widzisz?... Czy to Unger?

— Na Boga! To rzeczywiście on...

— Skąd Unger w świetle wielkiego księcia?

— Nie mam pojęcia! Ale spójrz... Niech mnie licho porwie! Pięć orderów i jeden krzyż zasługi!

Czy ja śnię?

— A pod rękę trzyma tę córkę stangreta! Zdaje się, von Branden, że zakpiono z nas.

— Zobaczmy, zobaczmy! Jego wysokość przedstawia ich właśnie. Do pioruna! Co on powiedział teraz naszemu generałowi? Nie dosłyszałem!

Von Platen, który stał w pobliżu, uśmiechnął się.

— Poleciał generałowi podporucznika Ungera i jego damę oraz kazał oboje przedstawić oficerom gwardii.

— Niech mnie wszyscy diabli porwą! Nigdy nie przeżyłem czegoś takiego! — niemal krzyknął von Branden.

— Wygląda to na wspaniałe zadośćuczynienie dla tego podporucznika i...

— Tak jest — przerwał von Platen. — Wiem, że bal został wydany właśnie dla Ungera. I ma być nauzką dla oficerów gwardii za to, że odtrącili ulubienca wielkiego księcia. Pułkownik zapomniał wczoraj nazwiska podporucznika, dziś przedstawia go nam wszystkim naczelny dowódca gwardii.

— Nigdy nie oglądałem tak pysznej sceny, na honor — mrucał von Branden. — Podporucznik przechodzi z rąk do rąk. Patrzcie i słuchajcie! Teraz zbliżają się do pułkownika.

— Panie pułkowniku — oświadczył dowódca — mam honor przedstawić panu pannę Sternau i pana podporucznika Ungera. Wstąpił do pana regimentu. Polecam go pańskiej łaskawej życzliwości, baronie von Winslow!

Pułkownika dusiło w gardle, nie mógł wykrztusić słowa, zdobył się jedynie na ukłon. Unger zwrócił się do generała:

— Ekscelencjo, za bardzo nadużywaliśmy pańskiej dobroci. Pozwoli pan, że pan pułkownik zastąpi ekscelencję i dokona dalszej prezentacji?

— Istny diabeł! — ekscytował się von Branden.

— Zmusza do tego pułkownika, który wczoraj uznał go za niezdolnego do dania satysfakcji?! To niesłychane!

Generał rzekł przyjaznym tonem:

— Sprawilo mi to przyjemność, ale jeśli pan sobie życzy, poruczniku, odstąpię pana pułkownikowi.

Odszedł, a pułkownik, chcąc nie chcąc, musiał wypić nawarzone przez siebie piwo. Skinął na oficerów regimentu, a kiedy zbliżyli się, po kolei wymieniał ich nazwiska Kurtowi. — Dziękuję, panie pułkowniku — podporucznik skłonił się chłodno, po czym podszedł do von Platena i zwrócił się do Różyczki: — To mój przyjaciel. Czy zechcesz go przedstawić wielkiemu księciu?

— Czy pan tańczy, panie podporuczniku? — spytała podając mu rękę.

Ucałował ją i powiedział:

— Oczywiście, łaskawa pani!

— A więc wpisuję pana do karnetu. Jako przyjacielowi Kurta przyrzekam panu drugi taniec. Teraz zaś chodźmy do wielkiego księcia.

Oddalili się. Pułkownik został sam wśród oficerów. Wyjął chustkę, otarł czoło i głęboko oddychając wyznał:

— Myślałem, że zemdleję. Muszę usiąść! Wybaczcie, idę do żony.

Jak zwykle na takich przyjęciach potworzyły się większe lub mniejsze gromadki gości. Jedni siedzieli, drudzy stali. Niemal wszyscy rozmawiali o Ungerze i nauczce, jakiej ten mieszczanin udzielił oficerom gwardii. Damy były zachwycone. Okazał się nie tylko pięknym mężczyzną, ale mężczyzną w pełnym tego słowa znaczeniu! Panowie też zaczęli patrzeć na niego innymi oczyma. Ale największa sensacja miała ich dopiero spotkać.

Nagle otworzono drzwi na oścież i rozległo się donośne:

— Jego królewska mość!

Monarsze towarzyszył von Bismarck. Za nimi szedł minister wojny wraz z szambelanem dworu, który trzymał w ręku skórzane puzderko.

— Nie mogłem sobie odmówić spędzenia paru chwil u waszej wysokości — król zwrócił się do wielkiego księcia. — Proszę przedstawić mi swoich gości.

Najwyżsi szarżą i godnościami natychmiast skupili się wokół króla, pozostali stanęli w odpowiednim oddaleniu. Niektórzy szeptem komentowali wydarzenia. Wśród nich prym wiódł von Branden. Ani przez chwilę nie mógł utrzymać języka za zębami.

— Król, Bismarck, minister wojny tutaj?! Skąd tak wielkie wyróżnienie dla naszego regimentu?! Możemy być dumni! Widzicie szkatułkę w ręku szambelana? Dam sobie głowę uciąć, że to order! Na pewno otrzyma go wielki książę! A że w tak dużym, szacownym gronie — to zaszczyt podwójny! Spójrzcie, hrabia de Rodriganda i minister wojny stanęli w niszy okiennej! Rozmawiają szeptem, mają poważne miny, spoglądają na pułkownika: Moi panowie, podejdźmy do naszego dowódcy. Coś tu się święci! Mówi mi to nos adiutancki!

I rzeczywiście doświadczenie nie zawiodło von Brandena. Niebawem minister podszedł do pułkownika. Von Winslow podniósł się z lęklwym szacunkiem.

— Panie pułkowniku, czy dostał pan moje pismo dotyczące podporucznika Ungera? — zapytał minister niezbyt przyjaznym tonem.

— Miałem zaszczyt — brzmiała odpowiedź.

— I przeczytał pan?

— Natychmiast, jak wszystko, co otrzymuję z rąk waszej ekscelencji.

— A więc dziwić się należy, że to pismo wywarło wręcz przeciwny skutek. Przypomina pan sobie, że poleciłem panu pana podporucznika?

— Tak jest.

— A mimo to, jak się dowiedziałem, okazano mu niechęć w pańskim regimencie. Panie pułkowniku! Niejedna dobrze urodzona głowa jest pusta w środku. Szef spraw wojskowych bywa wielce zadowolony, kiedy udaje mu się znaleźć zdolnego oficera, i zmartwiony, kiedy takiego właśnie człowieka spotykają nieusprawiedliwione, a w dodatku złośliwie robione trudności. Mam nadzieję, że wkrótce usłyszę, iż sytuacja uległa całkowitej zmianie.

Obrócił się ostro na obcasie i odszedł. Pułkownik stał przez chwilę jak rażony piorunem. Wreszcie zgarbiony, wrócił na swoje miejsce.

— Ten jest dzisiaj moralnie i fizycznie zmiażdżony — szepnął adiutant. — Nie chciałbym znaleźć się w jego skórze. Podporucznik wpadł jak bomba w nasze ciche życie, a teraz odłamki walą nam się na głowy. Gdzież jest ten bohater?

— Tam, przy zwierciadle. Von Bismarck z nim rozmawia — powiedział von Golzen.

— Von Bismarck?! Co za zaszczyt! Dałbym dwadzieścia pensji miesięcznych, gdyby kanclerz skinął mi tylko głową. Niebiosa, dochodzi do nich... sam król!

Wszyscy zazdrościli młodemu człowiekowi. Rozmawiali z nim przecież dwaj najpotężniejsi w Prusach mężowie stanu. Nie słyszano, co mówili, ale z wyrazu ich twarzy można się było domyślić, że życzliwie odnosili się do podporucznika.

Naraz król skinął na szambelana. Ten wyszedł na środek sali i oznajmił donośnym głosem:

— Mam honor oznajmić panom, że jego królewska mość raczył mianować pana podporucznika Ungera rycerzem drugiej klasy Orderu Czerwonego Orła, a to ze względu na wielce ważne zasługi, które w ostatnich dniach położył dla ojczyzny.

Jego królewska mość rozkazał równocześnie wręczyć wymienionemu panu podporucznikowi insygnia orderu.

Otworzył puzderko, podszedł do Ungera, bladego ze wzruszenia, i przypiął mu order na piersi.

Panowała cisza głucha jak w kościele. Jakież to zasługi? Widać nie były jakie, gdyż Czerwony Orzeł miał cztery klasy. Szczęściarz z tego podporucznika!

Dokoła młodzieńca skupiło się grono winszujących mu dostojników, na których czele był sam król, Bismarck i minister wojny. Wkrótce monarcha ze świtą opuścił zamek.

Odejście króla i dygnitarzy ożywiło młodzież. Już głośno komentowano wypadki. Wszyscy wyżsi oficerowie gratulowali Kurtowi. Kiedy został sam, podeszła do niego Różyczka.

— Drogi Kurcie, co za radość! Czy spodziewałeś się takiej nagrody?

— Skądże! Jeszcze nie mogę ochłonąć ze zdumienia! Zdaje mi się, że śnię.

— A więc usługa, o której wczoraj mówiłeś, musi być bardzo zacna... Ale nie chcę wystawiać na próbę twojej dyskrecji. Winszuję ci z całego serca. Twoi wrogowie zostali strasznie skompromitowani. Ale co z pojedynkiem? Czy pułkownik przyjął twoje wyzwanie?

— Nie, jak mi oznajmił von Platen. Potem odbył się sąd honorowy. Jego członkowie orzekli, że nie mam prawa żądać zadośćuczynienia. Na początku przyjęcia von Platen wręczył mi protokół z przebiegu obrad sądu i wyrok.

— Pokaż mi, proszę!

— Tu, teraz? Czy nie lepiej poczekać, aż wrócimy do domu?

— Nie. To sprawa zbyt poważna! A ponieważ jesteś moim rycerzem — uśmiechnęła się — musisz w lot spełniać prośby swojej damy.

— No dobrze.

Wyjął z kieszeni kopertę. Ukryła ją pod szalem i wyszła z sali. Kiedy wróciła, jej piękna twarzyczka była zarumieniona ze złości. Stojąc w drzwiach, rozglądała się dokoła. Jej wzrok zatrzymał się na pułkowniku, który przechadzał się w otoczeniu majora von Palma, adiutanta von Brandena i podporucznika von Ravenowa. Szybko zbliżyła się donich.

— Panowie wybaczą — powiedziała — że im przeszkadzam. Muszę z panem pomówić, panie pułkowniku.

— Jestem do usług, łaskawa pani — ukłonił się z kurtuazją. — Przepraszam panów — uśmiechnął się do towarzyszy — ale prośba damy jest dla mnie rozkazem.

— Wolę tu zostać — oświadczyła. — Ci panowie powinni usłyszeć, co mam panu do zakomunikowania. Czy pan podporucznik Unger wyzwał pana?

— Niestety, tak.

— A pan stwierdził, że uważa go za niezdolnego do dania satysfakcji?

— Łaskawa pani — szepnęła — muszę pani wytłumaczyć...

— Proszę nie przerywać! Odbył się sąd honorowy, który wypowiedział się przeciw podporucznikowi. Oto protokół. Podporucznik nosi uniform gwardii królewskiej, w kwestiach honoru dorównuje panu. Będę więc uważała pana za tchórza, jeśli odmówi mi pan satysfakcji! Człowiek honoru musi zareagować na obrazę tak samo, jak broniąc czci kobiety, którą bezczelnie napadnięto i którą czyni się przedmiotem grubiańskiego zakładu! Rozstrzygnięcie sądu honorowego nie świadczy, że panowie sędziowie wiele sobie robili z honoru. Jeśli pan dziś nie zawiadomi podporucznika Ungera, że przyjmuje jego wyzwanie, jutro rano udam się do jego królewskiej mości.

aby go poinformować, jak zachowują się pułkownicy gwardii. Bardzo mi przykro, że nie jestem mężczyzną i że nie mogę poprzeć tych słów szpadą czy pistoletem.

Odeszła z dumnie podniesioną głową. Pułkownik był blady jak ściana.

— Mnie, mnie tak spostonować! — wybełkotał. — Ten łotr dał jej odpis! Zastrzelę go jak wściekłego psa!

— To mnie—pienił się von Ravenow — miała namyśli, mówiąc o bezczelności i grubiaństwie. Jaka szkoda, że nie jest mężczyzną! Już bym ją umiał poskromić! Ulubieniec jej drogo mi za to zapłaci!

— Przekłeta sekutnica! — dodał adiutant. — Niech mnie licho porwie, jeśli nie odważy się pójść do króla! Co pan zrobi, panie pułkowniku?

— Jak pan myśli, majorze von Palm? Jesteś radcą w tych sprawach.

— Sądzę, że niepodobna upierać się przy wyroku sądu honorowego. Dzisiaj okazało się, że Unger jest godny dać zadośćuczynienie. Zresztą, napaść tej damy była tak zuchwała, że należy zmyć ją krwią.

— Będę się więc pojedynkował. Daję panom słowo honoru, że postaram się zabić tego drania!

— Niech pan pozostawi to mnie, pułkowniku — powiedział von Ravenow. — Wyzwałem go na tureckie szable, nie ujdzie z życiem. Mamy się bić tak długo, dopóki jeden z nas nie padnie martwy lub co najmniej będzie niezdolny do służby.

— Gdzie, kiedy nastąpi spotkanie? — zapytał pułkownik.

— Oczekuję pańskich propozycji. Chyba dobrze byłoby, aby oba pojedynki odbyły się jeden po drugim. Jak pan uważa?

— Zgoda. Powiem von Platenowi, że przyjmuję wyzwanie. Jakie miejsce pan wybiera, podporuczniku?

— Może w parku za browarem na Kreuzbergu?

— Doskonale! A czas?

— Jak najszybciej chciałbym rozplatać łeb temu Ungerowi! Opuśćmy więc bal nie później niż o drugiej, no, pół do trzeciej nad ranem. Godzina wystarczy na załatwienie niezbędnych spraw. A więc o czwartej?...

— Wyśmienicie.

— Ale mam prośbę, panie pułkowniku. Jest pan ojcem rodziny, ja kawalerem, pańskie stanowisko jest inne niż moje. I pan za udział w pojedynku poniesie większą karę niż ja. Proszę więc pana, abyś mi ustąpił pierwszeństwa.

Ze względu na swą rangę pułkownik nie powinien był na to przystać. Ale pomyślał o rodzinie, o karach, które mu grożą za pojedynek... A jeśli von Ravenow zabije przeciwnika, on uniknie wszelkich kłopotów. Odpowiedział więc:

— Jest pan zuchem, podporuczniku. Nie odmówię pańskiej prośbie. Majorze von Palm, jako radca spraw honorowych, musisz być przy tym obecny. A pan von Branden, czy zechce mi sekundować?

— Z największą przyjemnością, panie pułkowniku.

— A więc idźże pan natychmiast do von Platena, sekundanta Ungera, i powiedz, że oczekuję przeciwnika jutro o czwartej rano w oznaczonym miejscu. Przyniosę ze sobą pistolety. Odległość dwadzieścia kroków. Będziemy strzelać dopóty, dopóki jeden z nas nie padnie martwy lub tak ranny, że będzie niezdolny do służby. Postaram się o lekarza.

— W jakim porządku padną strzały?

— Na komendę i równocześnie.

— Pańskie warunki są równie surowe jak moje — zauważył von Ravenow. — Unger nie opuści placu. Zaraz porozmawiam z von Golzenem. Jako mój sekundant pójdzie do von Platena razem z von Brandenem i zakomunikuje nasze warunki.

Po kilku minutach von Golzen, adiutant i von Platen podeszli do Kurta, który siedział z Różyczką na kanapie.

— Panie podporuczniku, mamy sprawę do pana — rzekł von Platen.

— Wyjdźmy stąd — powiedział Kurt. — Różyczko, wybacz mi, że cię opuszczę na chwilę.

— Nie. Chcę być przy tej rozmowie. Sądzę, że będzie dotyczyła pojedynku. Czyż nie tak, moi panowie?

Adiutant skinął głową i spojrzawszy na Kurta oświadczył:

— Tak, łaskawa pani. Ponieważ pan Unger, co nie spotykane, wtajemniczył damę w sprawę honorową, przeto nie widzę przeszkód, aby pani uczestniczyła w rozmowie.

— Cóż to za zarzut wobec mojego przyjaciela? — odpaliła Różyczka. — Powiedział mi o pojedynku, ponieważ domyśliłam się wszystkiego i nie mógł zaprzeczyć, o ile nie chciał kłamać. Zresztą, mam prawo być w tę sprawę włączona, gdyż to ja zostałam obrażona przez jednego z przeciwników.

Oficerowie wymienili pytające spojrzenia. Von Golzen zwrócił się do Kurta:

— Co pan podporucznik na to?

— Wszystko mi jedno! Cała rzecz nie wydaje mi się tak ważką, abym miał się zastanawiać, czy można o niej mówić w obecności damy.

Adiutant odezwał się ze złością:

— Wkrótce przekona się pan, że jednak jest dosyć poważna, przynajmniej dla pana. Spotka się pan z dwoma przeciwnikami i to w walce na śmierć i życie. W naszym środowisku nie uważa się pojedynku za zabawę! Może pan być pewny, że żaden z pańskich adwersarzy nie będzie pana oszczędzać!

— Wiem to — rzekł spokojnie Unger.

— A więc do rzeczy!

Obaj sekundanci zaczęli objaśniać warunki.

— Widzę — zauważył Kurt, kiedy skończyli — że przeciwnicy godzą na moje życie. Podporucznik von Ravenow zaproponował turecką broń, myśląc, że nią nie władam. Moi panowie, już chłopcem będąc ćwiczyłem tymi szablami! Przyjmuję wasze warunki. Jednocześnie oświadczam, że ponieważ nie jestem rzeźnikiem, chętnie dam posłuch próbom pojednania, które pan major von Palm jako radca spraw honorowych zapewne przedsięweźmie. Szczere odwołanie lub przeproszenie ma dla mnie taką samą wartość co satysfakcja.

— Kolego — powiedział von Branden z dwuznacznym uśmiechem — o odwołaniu nie ma mowy, o ile znam obu panów. A co się tyczy pańskiej gotowości do pojednania, to wołę o niej nie wspominać mojemu mandatariuszowi, bo pomyśli, że spowodowana jest brakiem odwagi.

— Nie obchodzi mnie, jakie wnioski wyciągnie von Winslow z mojego oświadczenia. Dopiero

po spotkaniu będzie mógł mnie ocenić. Kończymy tę rozmowę. Zastaną mnie panowie na miejscu punktualnie o czwartej.

— Panie podporuczniku von Golzen — dodała Różyczka — zechce pan oznajmić panu podporucznikowi von Ravenowi, że i ja będę tam obecna.

— Ach! — zdumieli się oficerowie.

— Nie możesz, Różyczko. To jest sprzeczne ze zwyczajem — starał się ją przekonać Kurt.

— I co z tego?! Ten bezczelny człowiek napadł na mnie publicznie, publicznie kłamał! Czy jest to zgodne ze zwyczajem czy nie, ja chcę być świadkiem pojedynku!

I żądam, by von Ravenow wyznał na placu, że jest kłamcą i że musiał wyskoczyć z powozu, aby nie wpaść w ręce policjanta!

— Nie możemy przystać na to, czego sobie pani życzy — rzekł von Golzen.

Oczy jej zabłyśły i spojrzała mu prosto w twarz.

— Panie von Golzen, nazywam się Sternau, ale w żyłach moich płynie także krew hrabiów Rodrigandów. Tak łatwo nie ustąpię! Pomów, pan, ze swymi mocodawcami! Jeśli nie otrzymam pozytywnej odpowiedzi, zanim zasiądziemy do stołu, to damę panu słowo, że przy kolacji uraczę wszystkich opowieścią, w jaki sposób byłam zmuszona odbyć spacer z niejakim panem von Ravenowem. Przeciwnicy mego przyjaciela nie znają pobłażliwości, niechże więc nie liczą na moją wyrozumiałość! Żegnam panów!

Odeszli jak niepyszni, nie śmiejąc się odezwać. Kurt z podziwem spoglądał na nią. Czyżby to była ta słodka, cicha i łagodna istotka, z którą tak często dawniej się bawił? — Żądałaś zbyt wiele. Różyczko.

— Bądź spokojny. Przystaną na te żądania. Von Ravenow nie zechce się wystawić na kompromitację.

— Ale trudno mu będzie przyznać się wobec sekundantów do kłamstwa. Mniejsza zresztą z nim. Chciałem na miejsce pojedynku pojechać konno, z tobą będę musiał wziąć pojazd, a to...

— Poprosisz swego sekundanta — przerwała mu — aby załatwił powóz i czekał na nas w oznaczonym miejscu. Wymkniemy się z domu, nie zwracając niczyjej uwagi.

Nie sprzeciwiał się dłużej. Wiedział, że jej postanowienie jest niezłomne. Pułkownik stał we wnętrzu salonu wraz z von Golzenem, von Ravenowem i adiutantem. Nawet niezbyt bystry obserwator mógł spostrzec, że spierają się o coś gwałtownie.

Tymczasem poproszono gości do stołu. Wielki ksiązę wziął pod rękę matkę Sternaua, a za nimi utworzył się długi szereg par.

— Nie ma chwili do stracenia — rzekł von Golzen do von Ravenowa. — Czy mam zakomunikować pannie Sternau twoją zgodę, czy też chcesz się narazić na kompromitację?

Na twarzy podporucznika malowała się wściekłość, zakłopotanie, złość i zawstydzenie. Opanował się jednak i powiedział dość spokojnie:

— Tam do licha! Idź i powiedz tej sekutnicy, że nic nie stoi na przeszkodzie, by asystowała przy pojedynku.

Von Golzen odszedł. Pułkownik i adiutant odwrócili się od von Ravenowa. A więc rację miał Kurt, że podporucznik kłamał. Zezwoleniem danym Różyczce sam przyznał się do łgarstwa.

Kolacja była wspaniała. Potrawy wyszukane, a nastrój bardzo ożywiony.

Potem zaczęła grać orkiestra. Różyczka tańczyła to z Kurtem, to z von Platenem, a także z kilkoma wyższymi oficerami, którym obyczaj dworski nakazywał prosić do tańca damy znajdujące się w orszaku wielkiego księcia.

Na krótko przed północą wielki ksiązę opuścił bal. Hrabia de Rodriganda pojechał również do

domu wraz ze swoim towarzystwem. Tak samo uczynili i inni dostojnicy. Zabawa toczyła się dalej.

Przygotowano na podstawie bookini.pl